odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 23. IX. 62 r.

Nr 38 (238) Cena 1 zł

Felieton sceptyka

MICHAŁ ZEGAROWSKI

PALEC BOŻY?

*Podejmuję dziś temat równie niewdzięczny, co ograny. Naczytałem się do niego stertę urzędowych akt i artykułów kolegów po piórze *). Z lektury jednych i drugich przebija uczucie grozy. Fakty są przykre, sprawozdania ponure. Statystyki straszą, komentarze sugerują jakowąś jeszcze jedną naszą niemożność, a w każdym razie tchną beznadzieją.*

Chodzi o nieszczęśliwe wypadki przy pracy. Temperatura, w jakiej się o nich publicznie bądź kameralnie mówi, jest namiętna i jako taka zrozumiała. Wypadki oznaczają ludzkie tragedie i dramaty. Wzrost ich liczby z roku na rok — komplikuje życie jednostek, rodzin, społeczeństwa. To oczywiste. Asekuracyjnie stwierdzam jednak truizm, żeby w związku z tym, co powiem niżej, nie odsądzono mnie od czci i wiary.

W jednym z dokumentów, zdających sprawę ze stanu, a raczej nie — stanu bezpieczeństwa i higieny pracy w kilkunastu łódzkich przedsiębiorstwach, znalazłem następujące zdanie: W chwili obecnej należy dojść do wniosku, że wypadki przy pracy powstają z winy samych poszkodowanych albo z przyczyn od nikogo niezależnych". Muszę przyznać, że wniosek ten wynika całkiem logicznie z poprzedzających go przesłanek. A jednak całkowicie zgodzić się z nim nie sposób. No bo „z przyczyn niezależnych od nikogo", to znaczy, że co? Że palec boży?

Alarmując — w intencjach słusznie, w sposobach mniej — z powodu wypadków przy pracy zdajemy się zapominać o naszym wyjątkowo szybkim tempie uprzemysłowienia, a więc o tym, że pośpiesznie wchodzimy w cywilizację opartą na układzie człowiek — maszyna i że zapanowanie tego układu nie może obejść się bez kosztów ze strony człowieka. Tym bardziej nie może, że człowiek ów do partnerstwa w tym układzie z wiadomych przyczyn historycznych niezupełnie dorósł, a już na pewno w starcie doń jest stosunkowo mocno opóźniony. Mając za sobą tradycje nie techniczne, a raczej głównie kosyniérskie, chcielibyś

*) Streszczenia i wyciągi z akt i artykułów na str. 12 (red.)

Dalszy ciąg na str. 12

TAM, GDZIE CYWILIZACJA WALCZY Z PRZYRODĄ

Klnąc w duchu na połączenie Krakowa z Bieszczadami, czekałem piętnaście godzin na pociąg. Wreszcie lokomotywa z wagonami wolno wtoczyła się na peron. Do małych wagonów, jakie u nas spotyka się na podmiejskich liniach, rzuciła się młoda wiara z plecakami. Nikt nikogo nie potrącał, nie krzyczał. Wszyscy cierpliwie czekali w kolejce. Pociąg był zapełniony. Harcerze pod okiem druhów wybierali się na obozy wędrowne. Studenci do bazy w Zagórzu. Słowo „Zagórze" powtarzane było wielokrotnie w gorączkowych rozmowach.

W wagonie ponuro. Nikt nie rozmawia. Nie śmieje się. Na półkach leżą nierucho**mo wypchane plecaki.** Właściciele plecaków z nosami spuszczonymi na kwintę, przyklejeni do zamazanego okna, patrzą w dal. Pada. Ponoć od dwóch tygodni.

Młodzi księża z wyraźną dezaprobatą patrzą na ładne dziewczyny w spodniach popijające zimną herbatę. Niektóre filuternie puszczają w ich stronę oko. Śmieją się. Nastrój oczekiwania na wielką przygodę udzielił się wszystkim. Nawet księża zaczęli wypytywać gdzie i po co jedziemy.

W Zagórzu brać turystyczna rozdzieliła się. Cała wioska składająca się z kilkunastu budynków, poczty, kilku sklepów i rzecz jasna gospody, leży wzdłuż nowej asfaltowej drogi. Mieszkańcy Zagórza — to kolejarze i robotnicy dojeżdżający do pracy w pobliskim Lesku, czy Sanoku.

Ktoś nazwał Zagórze ostatnią bazą cywilizacji. Chyba słusznie. Jest tutaj kino. Wprawdzie czynne dwa razy w tygodniu, ale jest. W małej sali miejscowej straży pożarnej za jedyne dwa złote można obejrzeć tandetny film. Komendant straży jest nawet zadowolony. Mówi, że do kina przychodzą tylko turyści „miastowe ludzie". Zostawiają w kinie cenne dla tubylców pieniądze. Jeden ze strażaków powiedział, że za pieniądze zostawione w kinie w ciągu dwóch lat, kupili instrumenty dla miejscowej orkiestry.

Mieszkańcy Zagórza też mają swoje rozrywki. W bufecie na dworcu kolejowym, lub w miejscowej gospodzie. Wyjątkowo czysta, jak na tego typu lokal, gospoda, podzielona jest na dwie jakby części. Pierwsza z bufetem przeznaczona jest dla amatorów czegoś mocniejszego. Przeważają kolejarze. Siedzą nad „setką" przegryzając wybitnie drogimi kanapkami. Rozmawiają głośno, rzucając zaczepne spojrzenia w stronę młodych dziewcząt z bazy studenckiej. Z gospody nikt nie wychodzi pijany. Nie znaczy to, że brakuje w niej alkoholu. Gospodą opiekuje się miejscowe koło ZMW. Jeżeli któryś z gości pierwszej części gospody wygląda na podejrzanego, to grzecznie wyprowadzają go na podwórko gospody i pod studnią doprowadzają gościa do normalnego stanu. Za darmo. Zupełna nowość. Nasza izba wytrzeźwień miałaby w Zagórzu poważny deficyt. Nad wejściem do drugiej sali gospody wisi napis „Konsumpcja bez wyszynku". Tutaj siedzą turyści. Nie ogoleni studenci, mający na wczasach wędrownych jedyna okazję do zdobycia niemodnej już brody. Autostopowicze w spodniach udekorowanych kolorowymi napisami. Wreszcie siedzą w tej części gospody ekstrawagancko ubrane studentki, budząc różne refleksje u mieszkańców Zagórza. Kelnerka jest nieubłagana. Nie pomaga propozycja napiwku. Nie chce sprzedać wódki. W najlepszym wypadku obiecuje przynieść piwo. Na piętrze tego samego gmachu jest jeszcze kawiarnia, ale nieczynna. Brak etatów.

Dla naiwnych turystów są też miejscowe niespodzianki. Nad urwistym brzegiem Osławy, pośród bujnej roślinności wznoszą się ruiny dawnego klasztoru Karmelitów Bosych. Dawniej był to ważny punkt strategiczny. Z dawnej świetności pozostały tylko ruiny. Powiedziano nam, że ponoć mieszkają w piwnicach klasztoru autentyczni bosi karmelici.

SADY, KTÓRE JUŻ NIE ZAKWITNĄ

Wędrując po Bieszczadach nie tylko szlakiem turystycznym można zobaczyć, jak obok nowej drogi biegnie

Dalszy ciąg na str. 4

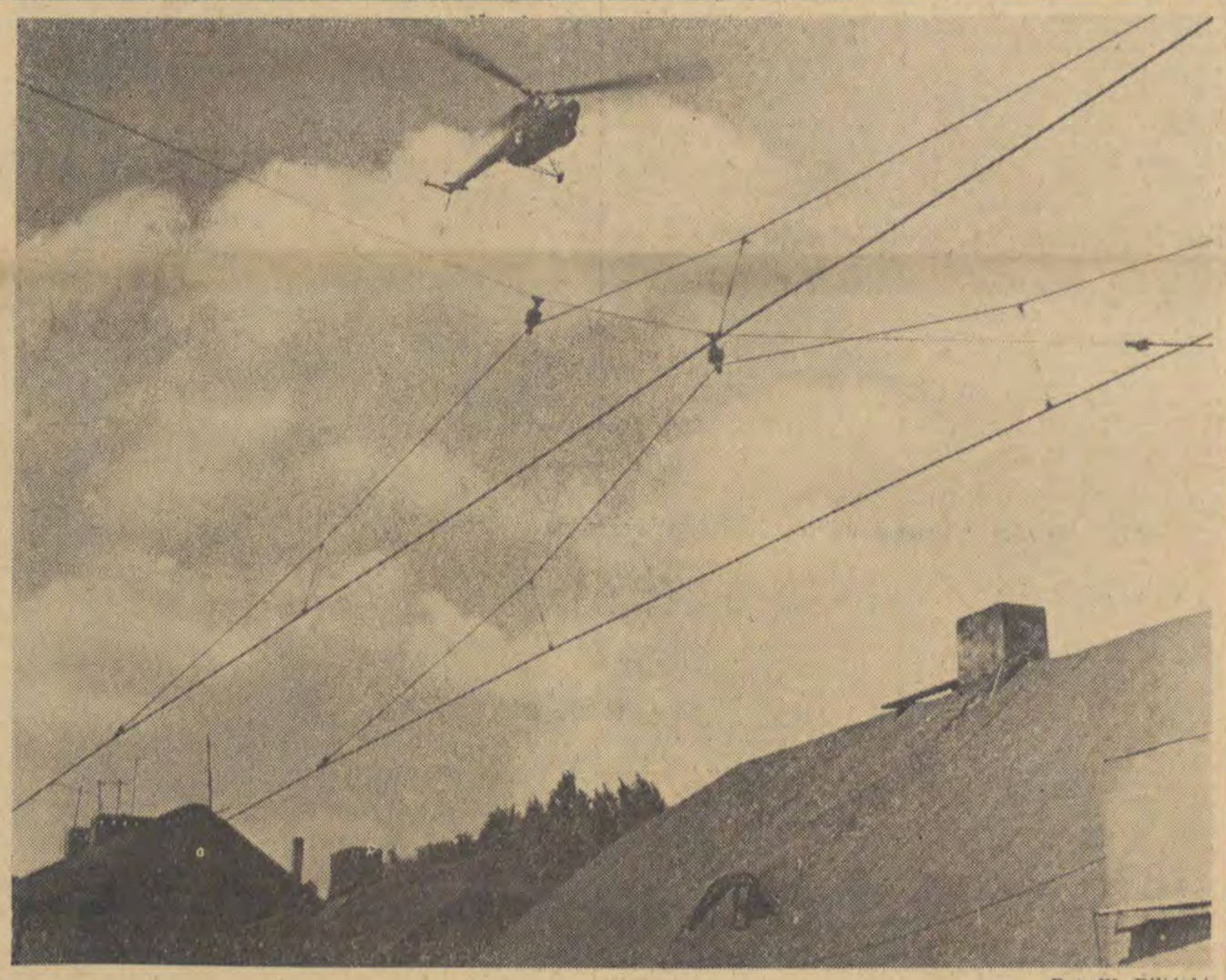

Fot. W. Biliński

FELIKS BĄBOL

Łódź, w jakiej żyjemy

JEST ICH 20 TYSIĘCY

JAK ODRÓŻNIĆ DOBROCZYŃCĘ OD ZWYKLEGO OBYWATELA?

Z dobroczyńcami w Łodzi bywa jak z genialnymi odkryciami: ich istnienie jest tak proste, że aż dziw bierze, że tzw. opinia potoczna tak długo czeka na ich objawienie. A w gruncie rzeczy nic łatwiejszego jak dobroczyńcę rozpoznać. Są to ludzie, którzy w większości nie korzystają ani z gazu, ani z łazienek, w ich mieszkaniach nie ma szaf wmontowanych w ściany.

Jednocześnie dobroczyńca jest to człowiek, którego nie spotkasz w „kwaterunku" z podaniem o przydział mieszkania, a więc człowiek, który nie prowadza do DRN-ów

Dalszy ciąg na str.8

ADAM WĘDRYCHOWICZ

CO CZYTAJĄ NAUCZYCIELE ŁÓDZCY?

W maju ub. r. przeprowadzono badania wśród nauczycieli szkół podstawowych na terenie jednej z większych dzielnic Łodzi. Badaniami objęto 504 nauczycieli, co stanowi przeszło 90 proc. wszystkich nauczycieli pracujących w pełnym wymiarze godzin na terenie wymienionej dzielnicy, a 16,1 proc. nauczycieli pracujących w szkolnictwie podstawowym na terenie Łodzi. W zbiorowości badanej, kobiety stanowią 83,5 proc. Głównym narzędziem badawczym była ankieta środowiskowa [1]).

Zawód nauczycielski nakłada szczególny obowiązek orientacji w aktualnej problematyce życia społeczno-politycznego niezależnie od wykształcenia, płci, wieku i specjalności. Bez codziennej lektury prasy, bez lektury wybranych tygodników społeczno-kulturalnych i zawodowych, znacznie jest utrudniona efektywna i świadoma działalność wychowawcza.

Najdoskonalsze nawet programy nauczania niewiele pomogą, jeśli sam nauczyciel nie będzie znał otaczającego go życia i nie będzie w nim zaangażowany. Chodzi tu o orientację nauczyciela w problemach o dużej doniosłości społecznej. Orientację w wydarzeniach politycznych krajowych i międzynarodowych, chodzi o znajomość zasadniczych problemów sytuacji gospodarczej, problemów kulturalnych itp. Ponadto dobrze jest jeżeli nauczyciele śledzą rozwój swej dyscypliny naukowej, i z tego względu powinni korzystać z codziennej prasy, tygodników społeczno-kulturalnych oraz różnego rodzaju periodyków z dziedziny polityki, kultury, nauki itd.

Ponieważ ludzie skłonni są czytać to, co ich najbardziej interesuje, stąd analiza czytelnictwa prasy będzie w dużej mierze analizą zainteresowań nauczycieli. Tym bardziej, że dodatkowo w ankiecie pytano także

o rodzaj wiadomości (artykułów) najbardziej interesujących czytelnika.

W środowisku badanych nauczycieli z dzienników najbardziej poczytne są pisma lokalne. Pisma centralne, jak: „Trybuna Ludu", „Życie Warszawy", „Sztandar Młodych" są zdecydowanie mniej atrakcyjne. Z pism lokalnych najbardziej poczytny jest „Dziennik Łódzki", następne miejsca kolejno zajmują: „Głos Robotniczy", „Express". Większej różnicy w poczytności tych dzienników wśród kobiet i mężczyzn nie ma, z wyjątkiem „Expressu", który jest bardziej poczytny wśród kobiet.

Mówiąc o tym, że „Dziennik Łódzki" jest dziennikiem najchętniej czytanym przez nauczycieli musimy zaznaczyć, iż prymat ten jest zdecydowany. Różnica między „Dziennikiem Łódzkim", a „Głosem Robotniczym", który zajmuje drugie miejsce, wynosi około 45 proc., a między „Głosem Robotniczym" a „Expressem", który zajmuje trzecie miejsce około 8 proc. Odsetek nauczycieli czytających „Dziennik Łódzki" wynosi około 83 proc; „Głos Robotniczy" przeszło 38 proc; „Express" około 30 proc; „Życie Warszawy" około 7 proc; „Trybunę Ludu" około 5 proc; „Kurier Polski" — 2 proc. Pozostałe dzienniki: „Sztandar Młodych", „Głos Pracy", „Słowo Powszechne" — czyta mniej aniżeli 1 proc. nauczycieli. Na podstawie obserwacji i rozmów można przypuszczać, że na przestrzeni ostatnich 5 lat w poczytności dzienników zaszły pewne zmiany na korzyść „Głosu Robotniczego" kosztem „Expressu".

Czy uległy zmianie zainteresowania centralnymi dziennikami? — Trudno powiedzieć. Jedno jest niewątpliwe: liczba nauczycieli czytających „Trybunę Ludu" jest żenująco mała (26 osób). Jeżeli założymy — co nie jest zupełnie bezpodstawne — że wydarzenia na arenie międzynarodowej w kwietniu i maju wywarły pewien wpływ na wzrost poczytności tego dziennika, to dla normalnych warunków poczytność tego dziennika wśród nauczycieli może być jeszcze mniejsza. Możemy przypuszczać, z dużym prawdopodobieństwem, że wydarzenia: obrady ONZ nad sprawą Angoli, zagarnięcie władzy w Algierze przez ultrasów — generałów francuskich, rozgromienie sił kontrrewolucyjnych na Kubie, pucz wojskowy w Korei Południowej, zapowiedź spotkania N. S. Chruszczow — J. Kennedy itp. — wzmogły zainteresowanie informacją polityczną, a zatem i wzrostem poczytności „Trybuny Ludu".

CZYTELNICTWO TYGODNIKÓW

Najbardziej popularnymi tygodnikami wśród nauczycieli są czasopisma „masowe", nie wymagające przy czytaniu większego wysiłku intelektualnego. Najpopularniejszym okazał się „Przekrój", a odsetek nauczycieli czytających to pismo wynosi aż 70 proc; na drugim miejscu „Dookoła Świata", odsetek czytających — 49,4 proc. Następnie podajemy kolejność według malejącego odsetka czytających — „Głos Nauczycielski" — 28,6 proc, „Kobieta i Życie" — 23,3 proc, „Świat" — 14,5 proc., „Kulisy" — 14,4 proc., „Nowa Kultura" — 13,5 proc., „Panorama" — 9,9 proc., „Przegląd Kulturalny" — 9,9 proc., „Przyjaciółka" — 8,7 proc., „Życie Literackie" — 7,5 proc., „Film" — 6,5 proc., „Polityka" — 4,6 proc. Pozostałe tygodniki są znacznie mniej popularne.

Nie ulega wątpliwości, iż prymat „Przekroju" wynika przede wszystkim z jego pozycji jaką zajmuje w dziedzinie kształtowania poglądów na modę (ubierania się, szycia itp.). Mówi się, że „Przekrój", to „monarcha mody" i jeśli chcesz dowiedzieć się, co piszą w „Przekroju", spójrz jak ubierają się młode panie i panowie, albo inaczej — chcesz wiedzieć jak ubierają się panie i panowie, zajrzyj do „Przekroju". Popularność „Przekroju" rośnie kosztem innych czasopism, przede wszystkim społeczno-kulturalnych i zawodowych, co wydaje się być objawem negatywnym. Na uwagę zasługuje fakt, że wśród czytających „Przekrój" przeważają kobiety z najmłodszych klas wieku.

Znikoma popularność takich tygodników jak: „Przegląd Kulturalny", „Życie Literackie", „Polityka", „Argumenty" itp. dowodzi przekonywająco, że nauczyciele, delikatnie mówiąc, stronią od pism wymagających większego wysiłku intelektualnego. Nawet „Głos Nauczycielski" czyta zaledwie 28,6 proc. nauczycieli.

Praktycznie „Przegląd Kulturalny" czyta co dziesiąty nauczyciel, „Życie Literackie" co szesnasty, „Politykę" — prawie co dwudziesty, „Argumenty" — co osiemdziesiąty piąty nauczyciel. W przypadku „Argumentów" jest to tym ciekawsze, że mniej więcej w czasie prowadzonych przez nas badań na łamach pisma drukowane wiele bardzo ciekawych artykułów o pracy szkół i życiu nauczycieli.

Czytanie określonego dziennika czy tygodnika nie przesądza jeszcze o zainteresowaniach czytelnika, wybór czasopisma sygnalizuje tylko z grubsza strukturę zainteresowań. Znane są bowiem przypadki, iż nauczyciele kupują różne czasopisma dla jednego tylko celu — rozwiązywania zagadek umysłowych. Z tego powodu pytanie: „Co Kol. na łamach prasy czyta najchętniej?" — wydaje nam się potrzebne.

Analiza odpowiedzi doprowadziła nas do wniosku, że strukturę zainteresowań cechuje politematyczność, a więc brak jakichś szczególnie dominujących zainteresowań. Można uważać, że jest to oznaką wszechstronności zainteresowań nauczycieli, ale można także uważać, że TAKA WSZECHSTRONNOŚĆ jest oznaką braku jakichkolwiek utrwalonych zainteresowań, problematyką określonego rodzaju.

Zestawienie danych o czytelnictwie dzienników i tygodników ze strukturą zainteresowań wydaje się bardziej świadczyć o słabo utrwalonych zainteresowaniach problematyką określonego rodzaju, aniżeli ich wszechstronności. Odsetek czytających niektóre rodzaje wiadomości i artykułów jest przypuszczalnie wyższy. Nie wykluczona jest bowiem różnica między tym co czyta się najchętniej, a tym co czyta się w ogóle. Na pewno artykuły i wiadomości polityczne czyta więcej aniżeli 10,4 proc. nauczycieli, wiadomości i artykuły na tematy gospodarcze więcej niż 5,5 proc. itd.

„Polityka" cieszy się największym zainteresowaniem wśród nauczycieli najstarszych (liczących 50 i więcej lat), wiadomości i artykuły gospodarcze cieszą się także największym zainteresowaniem wśród nich i nieco młodszych kolegów (liczących 40 i więcej lat), zagadnienia oświaty — wśród nauczycieli z grupy wieku 30—39 lat, problematyka naukowa i ateistyczna — w grupie nauczycieli liczących od 40—49 lat. Jest rzeczą charakterystyczną, że wszystkie te kierunki zainteresowań są najmniej popularne wśród nauczycieli najmłodszych (18 do 24 lat), którzy stosunkowo niedawno opuścili szkoły i uczelnie. Wykazują oni natomiast duże zainteresowanie sportem, działem rozrywek umysłowych, odcinkami powieści i opowiadaniami.

Najbardziej niespodziewany jest wynik zależności zainteresowań wiadomościami i artykułami politycznymi od wykształcenia wśród kobiet — nauczycielek. Okazuje się, że najmniejsze zainteresowanie wiadomościami i artykułami politycznymi wykazują kobiety z wyższym wykształceniem.

Być może, iż ten nieoczekiwany wynik jest najzupełniej przypadkowy. Definitywne rozstrzygnięcie tego zagadnienia wymagałoby jednak dodatkowych badań.

Do niespodzianek należy zaliczyć zmniejszający się stopień zainteresowań artykułami i wiadomościami gospodarczymi wśród mężczyzn w miarę wzrastającego wykształcenia. Największe zainteresowanie tego rodzaju wiadomościami wykazują mężczyźni ze średnim wykształceniem: najmniejsze — z wyższym. Jest to niespodzianka tym większa, że wśród kobiet — na odwrót — stopień zainteresowań wiadomościami i artykułami gospodarczymi rośnie wraz z wykształceniem. Największe zainteresowanie obserwujemy zagadnieniami gospodarczymi wśród nauczycielek z wyższym wykształceniem.

Zależność pozytywna występuje między wzrostem wykształcenia a zainteresowaniem wiadomościami i artykułami naukowymi. Zarówno wśród nauczycieli, jak i wśród nauczycielek, stopień zainteresowania wiadomościami i artykułami naukowymi rośnie wraz z wykształceniem; z tym jednak, że różnice zainteresowań są znacznie większe wśród mężczyzn, aniżeli wśród kobiet.

Zależność negatywna (ze wzrostem wykształcenia maleje zainteresowanie) występuje między wykształceniem, a działem rozrywek umysłowych, czytelnictwem odcinków powieści i opowiadań, wiadomościami z dziedziny oświaty oraz między wykształceniem a działem humoru i satyry. Największe zainteresowanie reportażem obserwujemy wśród kobiet z niepełnym wyższym wykształceniem. Najmniejsze zainteresowanie reportażem wykazują nauczycielki ze średnim wykształceniem, a wśród mężczyzn nauczyciele z niepełnym wyższym.

Zainteresowanie wiadomościami i artykułami o sporcie maleje wśród mężczyzn w miarę zwiększania się wykształcenia. Wśród kobiet odwrotnie: największe zainteresowanie sportem wykazują kobiety z wyższym wykształceniem.

Odsetek nauczycieli korzystających z miesięczników, kwartalników i tym podobnych periodyków jest nikły. Tym bardziej, iż w praktyce bywa, że nauczyciele, którzy czytaliby jeden tylko miesięcznik jest bardzo mało, przeważnie bowiem ten kto czyta jeden miesięcznik, czyta zazwyczaj drugi i trzeci. Zdecydowana większość nauczycieli nie czyta tego rodzaju periodyków w ogóle. Rzuca się w oczy stosunkowo duży odsetek czytających „Urodę" i „Żyjmy dłużej".

Głębsza analiza wykazuje, że najniższy odsetek czytających miesięczniki jest wśród historyków i wśród polonistów (około 30 proc. polonistów korzysta z pomocy periodyków, matematyków około 60 proc.).

Na wyróżnienie zasługują jedynie nauczyciele fizyki i chemii. Prawie 100 proc. fizyków i chemików korzysta z periodyków poświęconych tym przedmiotom, a często czytają także miesięczniki „niezawodowe". Zamiłowanie w swojej specjalności, przygotowanie do nauczania tego przedmiotu, olbrzymie postępy tych dziedzin wiedzy oraz ciekawość uczniów rozbudzona przez radio i prasę, telewizję i film, sputniki itp. Wszystko to razem wziąwszy wyjaśnia nam m. in. stopień poczytności miesięczników, kwartalników itp. wśród nauczycieli chemii i fizyki.

---

[1]) Niniejszy artykuł opracowany jest na podstawie pracy zatytułowanej: „Zasięg oddziaływania prasy, książki oraz instytucji kulturalnych w środowisku łódzkich nauczycieli", napisanej pod kierownictwem dr S. Widerszpila.

Z cyklu: ŁÓDŹ

Fot. W. Biliński

MARIA KORNATOWSKA

„SPÓŹNIENI PRZECHODNIE"

Latoś urodzaj nie najlepszy. Na niwie filmowej również. Z tym większą radością powitać wypada film, który z czystym sumieniem wszystkim można polecić. Każdy bowiem w „Spóźnionych przechodniach" znajdzie coś dla siebie. Esteci — parę ładnych scen i ładne zdjęcia, amatorzy gwiazd — paradę sław sceny i ekranu, intelektualiści — kilka niezbyt wyczerpujących umysł refleksji, a tak zwany szary widz — dwie godziny tzw. miłej i godziwej rozrywki. Nareszcie, nareszcie mamy film, który można obejrzeć bez większej przykrości i bez męczącego wysiłku nerwowego. Normalne kinematografie produkują takie dzieła na kopy. Proszę mnie źle nie rozumieć. To wcale nie umniejsza rangi filmu Rybkowskiego. Wprost przeciwnie. Pozwolę sobie przy tej okazji użyć bardzo modnego dziś (na łamach prasy „kulturalnej") określenia. Otóż „Spóźnieni przechodnie" są dowodem, iż także i w dziedzinie filmu wkraczamy w okres stabilizacji.

Po epoce arcydzieł, filmów pełniących obowiązki arcydzieł i kandydatów na arcydzieła nadeszła era normalnej, komercjalnej produkcji. Ale produkcji A-klasowej, produkcji z ambicjami, ambicjami do kulturalnej realizacji, do podnoszenia poziomu widza, do osiągnięcia pewnej rangi artystycznej. Tego rodzaju filmy ugruntowały światową pozycję chociażby takiej kinematografii francuskiej. „Spóźnieni przechodnie" mają w sobie właśnie coś z filmu francuskiego. Ową mieszaninę wdzięku, lekkości i liryzmu z odrobiną zamyślenia, ironii czy nawet groteski. Zasługa to oczywiście w dużej mierze prozy Dygata, ale także, i to w znacznym stopniu jej filmowej adaptacji. Adaptacja ta bowiem wydobyła dosyć zręcznie cały czysto literacki smak tej prozy, zachowała daleko idącą wierność wobec stylu i ducha pierwowzoru literackiego. Czy zaważył w tym wypadku fakt, że ludzie teatru odnoszą się z o wiele większym szacunkiem do słowa pisanego niż ludzie filmu? Kto wie? Dosyć że powstał film bardzo jednak literacki i teatralny w swej statyczności. Tym bardziej że reżyserzy poszczególnych nowel nie poszli drogą właściwą wszystkim neofitom, to znaczy drogą skrajnych poszukiwań warsztatowych. I to się im bardzo chwali. Można sobie bowiem wyobrazić co by z tego wynikło.

Natomiast bardzo wyraźnie odczuwa się w tym filmie wpływ telewizji. I to również wyszło „Spóźnionym przechodniom" na dobre. Film zyskał na atmosferze intymności i kameralności. Te dosyć różne w nastroju opowieści o mijających się losach ludzkich nabrały pewnego jednolitego tonu, tonu jakiejś bezpośredniej, podpatrzonej, właśnie telewizyjnej realizacji o godzinie spóźnionych przechodniów, godzinie która trwa ponad epokami, wojnami i zmianami obyczajów. Jednolitość tonu w dziele będącym owocem pracy tylu reżyserów, i to w dziele składającym się z nowel o bardzo różnym w istocie charakterze, wydawać się może rzeczą paradoksalną. Niemniej film tę jednolitość posiada.

Składa się na to wiele czynników: i pewien wspólny klimat i wspomniana już telewizyjna intymność i wierność wobec ducha prozy Dygata. A ponadto czynnik negatywny. Nikt w „Spóźnionych przechodniach" nie błysnął wielką indywidualnością, jakimś własnym, osobistym stylem. Poprzestano na poprawnej, kulturalnej interpretacji tekstów. W tym kontekście najoryginalniej moim zdaniem wypadło pełne rokokowego wdzięku opowiadanie „Czas przybliża, czas oddala" (reż. G. Holoubek), najbogatsze w możliwości treściowe i filmowe aczkolwiek filmowość pierwowzoru literackiego nie została, niestety, wydobyta.

I w tym i w innych opowiadaniach główny akcent padł na aktora (i tu chyba również dopatrywać się można wpływu telewizji). Aktorzy — reżyserzy uporali się znakomicie ze swoimi współkolegami, osiągając wspaniałe rezultaty. Całe rusztowanie „Spóźnionych przechodniów" opiera się na aktorze. Aktorzy nie tylko grają ale tworzą atmosferę i nastrój („Czas przybliża, czas oddala", „Stary profesor"), stanowią o dramatyczności sytuacji („Paryż 1945"). Najlepszą z najlepszych jest niezaprzeczalnie Alina Janowska, bohaterka „Nauczycielki" (reż. J. Rybkowski) — opowiadania najzręczniej w całym filmie zrealizowanego i najbardziej chyba, jak nietrudno odgadnąć, „filmowego". Rybkowski stopił w bardzo ładną całość, tragizm i komizm tej samej sytuacji, zabawne pozory i smutną prawdę, szarą codzienność i błysk „wielkiej przygody". Wszystko w ozdobnych ramach bardzo cienkiego i subtelnego pastiszu.

Fotos z filmu „Spóźnieni przechodnie".

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

CO NOWEGO w ZESPOŁACH?

Dobiegają końca Dni Filmu Polskiego, w których zaprezentowano nam pięć nowych filmów fabularnych — i trzeba przyznać w sumie — słabych. Nowe filmy zostały mniej lub bardziej sprawiedliwie ocenione, mniej lub więcej słusznie dostało się ich twórcom — scenarzystom i reżyserom. (Do polskich operatorów nikt nie ma zastrzeżeń, ich zdjęcia stoją prawie zawsze na wysokim poziomie). Warto chyba zorientować się, jakie więc filmy realizuje się w Zespołach i jakie scenariusze akceptowano lub skierowano do produkcji.

W zespole „Droga", którym kieruje reż. Antoni Bohdziewicz zaakceptowano ostatnio scenariusz pt. „WEEKENDY" składający się z dwóch nowel o tematyce współczesnej: „Autobusy jak żółwie" Józefa Hena (autora „Kwietnia") i „Julia" Krzysztofa Gruszczyńskiego. Panoramiczny film „ZERWANY MOST" według scenariusza Romana Bratnego, realizuje Jerzy Passendorfer („Wyrok"). Obecnie, po zakończeniu zdjęć plenerowych w Pilichowicach koło Jeleniej Góry trwają zdjęcia wnętrz na terenie atelier, w Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu. Ich autorem jest operator Antoni Nurzyński, były asystent Jerzego Wójcika, z którym kręcił zdjęcia do „Matki Joanny od Aniołów", a ostatnio do filmu Nasfetera „Mój stary". Wśród wykonawców zobaczymy na ekranie: Elżbietę Kępińską, Lidię Korsakównę, Tadeusza Łomnickiego, Wojciecha Siemiona i Mieczysława Voita. W tym samym zespole „Iluzjon" rozpoczęto realizację dwóch filmów: reż. Bohdan Poręba realizuje wg scenariusza Jacka Wejrocha film pt. „OBCY". Autorem zdjęć jest Władysław Forbert. Główne role w tym filmie, który jest historią oficera polskiego walczącego na Zachodzie grają: Wiesław Gołas, Henryk Bąk, Jerzy Duszyński, Ryszard Pietruski, Kazimierz Opaliński. W Krakowie i w Pieninach trwają zdjęcia plenerowe. Na przeciwległym krańcu Polski, w Ustce realizuje swój następny film Stanisław Możdżeński („Zuzanna i chłopcy"). Jego nowy film zatytułowany „JOK MOKK" realizowany jest na podstawie scenariusza Zdzisława Skowrońskiego. Zdjęciami kieruje operator Mikołaj Sprudin. Zdjęcia atelierowe realizowane będą w Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi. W filmie tym ujrzymy: Emila Karewicza, Bogdana Baera, Beatę Tyszkiewicz, Barbarę Modelską, Leona Niemczyka i innych. Akcja filmu dzieje się tuż po wojnie, w małym porcie rybackim. Głównym tematem filmu są skomplikowane sprawy ludzi, którzy napływają ze wszystkich stron kraju aby rozpocząć życie w nowych warunkach. Na pierwszy plan wysuwa się historia człowieka, który chcąc ukryć pewne fakty ze swej biografii, stara się nie angażować w sprawy odbudowy portu.

W „Iluzjonie", któremu sporo poświęciliśmy uwagi zaakceptowano dwa scenariusze: Zdzisława Skowrońskiego „TRĘDOWACI" (autentyczna historia zakażenia promieniami radioaktywnymi naukowców jugosłowiańskich pracujących w Instytucie Atomowym) oraz Wojciecha Żukrowskiego „SKĄPANI W OGNIU" (bohaterem przyszłego filmu ma być były członek AK oficer batalionu samochodowego, który znajduje się wśród wojsk walczących z bandami tuż po zakończeniu wojny na Śląsku).

Nieliczne polskie komedie filmowe ma uzupełnić film, który będzie realizowany przez reż. Jerzego Zarzyckiego wg scenariusza Janickiego i Mularczyka „LICZĘ NA WASZE GRZECHY". Będzie to współczesna komedia o zabarwieniu sensacyjnym, a jej głównym bohaterem jest dziennikarz, który z braku interesującego materiału do reportażu wymyśla wstrząsającą opowieść o młodzieżowym klubie samobójców.

W zespole „KADR" w realizacji znajdują się „CZERWONE BERETY" wg scenariusza Jerzego Lutowskiego i Albina Siekierskiego na podstawie noweli Siekierskiego „Pół godziny przyjaźni" nagrodzony w 1961 roku na konkursie zorganizowanym przez Wytwórnię Filmową Wojska Polskiego „Czołówka". „Czerwone berety" reżyseruje Paweł Komorowski, zdjęcia kreci Krzysztof Winiewicz, a grają m. in. Marta Lipińska i Marian Kociniak. Rozpoczęła zdjęcia ekipa filmu „SMARKULA". Scenariusz napisali Roman Niewiarowicz i Leonard Buczkowski wg sztuki Niewiarowicza „ZNAJDA". Reżyseruje Leonard Buczkowski („Zakazane piosenki", „Czas przeszły"). Autorem zdjęć będzie Jerzy Wójcik. Treścią filmu jest historia młodej dziewczyny, która po śmierci matki zostaje sama. W październiku — szerokoekranowy „PAMIĘTNIK PANI HANKI" będzie realizował według własnego scenariusza Stanisław Lenartowicz. Operatorem jest Mieczysław Jahoda. Akcja filmu toczy się tuż przed wybuchem II wojny światowej. Reż. Jerzy Kawalerowicz, kierujący zespołem „Kadr", wraz z operatorem Jerzym Wójcikiem powrócili niedawno z Afryki i Jugosławii, gdzie przeprowadzili dokumentację do realizacji dwuseryjnego filmu „FARAON".

Historię chłopca, który wskutek nieszczęśliwego wypadku stracił wzrok będzie realizował również w „Kadrze" Kazimierz Kutz („Ludzie z pociągu") wg scenariusza Szczygiela i Kutza „MILCZENIE". O szczegółach produkcji w pozostałych Zespołach Filmowych napiszemy następnym razem.

Dalszy ciąg ze str. 1

druga. Porośnięta trawą, często chowa się w największe chaszcze. W innym miejscu, na zboczu góry turystę prowadzi wąska ścieżyna, gdzie przejdzie tylko zwinna sarenka. Taki widok w Bieszczadach, to żadna nowość. Czytelnik, który nawet pobieżnie śledził wypadki zachodzące w naszym kraju po ostatniej wojnie, wie co oznaczają w Bieszczadach te milczące symbole. Oddziały upowskie, świetnie uzbrojone i niekiedy kierowane przez hitlerowskich oficerów, terroryzowały wsie bieszczadzkie, puszczając z dymem wszystko, co tylko nadawało się do palenia. W Wołkowyji mieszka wielu chłopów, którym udało się ujść spod „czułej ręki" powojennych „panów" bieszczadzkich lasów.

— Ten dzień będę zawsze pamiętał. Było to w Sylwestra czterdziestego szóstego roku. Wybierałem się z żoną na zabawę we wsi. Przyszło ich czterech. Chcieli od nas wódki i chleba. Później upili się. Jeden z nich zaczął szarpać moją żonę. Odepchnęła go i uciekła do wsi. Zabrali się do mnie. Potem „zaopiekowali się" dzieckiem, które leżało w kołysce. Wyszli ledwo poruszając nogami. Dziecko zabrali. W chwilę później usłyszałem strzały.

Heniek, przewodnik w naszym obozie, często używa słów „tutaj była kiedyś duża wioska". Teraz jest tylko pusta polana pokryta wysoką, bujną trawą. Gdzieniegdzie dostrzec można ledwo widoczne ślady drogi.

Schodząc z północnego stoku Otrytu w rejonie Czarnego Potoku widać wijącą się wśród malowniczej doliny krętą drogę. Nieco dalej rosną drzewa owocowe, kryjąc swymi konarami dwie stare chaty wiejskie. Podchodzimy bliżej, przechodząc wpław przez potok. Czysta woda, niczym kryształ odbija dokładnie pobliską okolicę. Wysokie, prawie dwumetrowe pokrzywy bronią dostępu do opuszczonego przez właścicieli sadu. W sadzie rosną zdziczałe jabłonie. Małe, niedojrzałe jabłka są kwaśne. Obok opuszczone chaty. Stoimy milcząc. Nikt nie przerywa ciszy. Cztery ściany rozwalonej chaty mają swoją wymowę. Gałęzie obwieszone kwaśnymi jabłkami zaglądają do wnętrza. Dokoła pełno śladów ognia. Nawet wewnętrzne ściany chaty są osmalone. Spoglądamy na siebie. Zgubiliśmy drogę? Przecież zgodnie z mapą miała być tutaj duża wioska. Jest. Tylko spalona. Kiedyś było w tym miejscu życie. A teraz?

Dalej spotykamy dwóch młodych ludzi, robią pomiary. Ktoś z daleka od zgiełku chce tutaj zamieszkać. Właśnie wymierzają grunty dla jego gospodarstwa. Ziemia w tej okolicy jest bardzo urodzajna. Teraz nikt nie będzie strzelał zza węgła. Tyle, że do najbliższej wioski, gdzie można by pogadać z sąsiadem jest szesnaście kilometrów. W tym dwie przeprawy przez rzekę.

W rejonie Suchych Rzek świetnie zachowały się bunkry zajmowane niegdyś przez bandę Bira. Doskonale zamaskowane bronią dostępu dla obcych. W świetle latarki widać jakby świeże jeszcze ślady obecności człowieka. Przed kilku laty były tu podobno resztki broni. Zepsute peemy, granaty, łuski, po wystrzelonych nabojach. Teraz nie ma nic. Zostały tylko ślady. Milczące ślady wyznaczone krwią niewinnych ludzi.

Na sąsiednich stokach pod okiem „cowbojów" spokojnie chodzą krowy. Na terenie spalonych wsi zaczyna tętnić życie. A może sady jeszcze zakwitną?

TURYŚCI W PIDŻAMACH

W ostatnim okresie zaobserwować można, że Bieszczady stały się niezmiernie popularnym terenem turystycznych eskapad. W Bieszczadach rzadko spotkać można samotnego turystę z plecakiem. Zdawać by się mogło laikowi, kiedy patrzy na małą kartkę pocztową, przysłaną przez znajomego z Bieszczad, że łagodne zbocza gór nie stanowią specjalnej przeszkody w zdobywaniu szczytów.

Bieszczady — zalew Sanu pod Myczkowcami

TAM, GDZIE CYWILIZACJA WALCZY Z PRZYRODĄ

Porośnięte wysoką trawą stoki, krzewy jagód sięgające do pasa, to zdaniem wytrawnych turystów przeszkody, których pokonanie zabiera dużo sił. Chyba dlatego na bieszczadzkim szlaku trudno spotkać samotnego turystę.

Bardzo popularne w Bieszczadach stają się obozy wędrowne organizowane przez organizacje studenckie i harcerskie. Doskonale zorganizowane bazy ZSP w Zagórzu, Smereku, Ustrzykach Górnych i Zatwarnicy, co kilka dni wypuszczają na bieszczadzkie szlaki nowe grupy. Wędrują z plecakami, biorąc ze sobą prowiant na kilka dni, namioty. Rzadko kiedy idą szlakiem, uważając, że szlaki są wyznaczone dla zwykłych śmiertelników, nie dla studentów. Prowadzą ich ścieżki wydeptane przez sarny.

Niektóre rejony Bieszczad są jeszcze dzikie do tego stopnia, że aby przejść, należy siekierą torować sobie drogę. W Bieszczadach rzadko gdzie są mosty na rzekach. Wielokrotnie w ciągu jednego dnia należało przejść rzekę wpław z plecakami. Wreszcie stało się to naszym chlebem powszednim. Pewnego dnia przyjechali do nas w Smereku oficerowie z miejscowej jednostki wojskowej. Też mieli przygodę. Ugrzęźli w bagnie. Przyszedł im z pomocą spychacz.

Rozległe tereny bieszczadzkie nie są jeszcze dostatecznie zaopatrywane w artykuły spożywcze. Nie w każdej wsi jest sklep spożywczy, a tych wsi w Bieszczadach nie jest ostatecznie tak dużo. Często wędrowaliśmy kilkanaście godzin dziennie i nie było widać żadnej wsi. Niekiedy chleb sprzed kilku dni i konserwy są jedynym pożywieniem turysty w Bieszczadach.

Jednak te trudności w małym stopniu wpływają na zahamowanie ruchu turystycznego. Ostatnio na bieszczadzkich drogach zauważyć można coraz więcej autostopowiczów. Kierowcy widząc człowieka idącego jednią, sami zatrzymują swe wozy. Pamiętam, szliśmy akurat na nocną wycieczkę, kiedy przejeżdżał samochód. Kierowca zatrzymał się. Był bardzo zdziwiony, że nie chcieliśmy jechać z nim.

Jeżeli kierowca nie chce zatrzymać wozu, to i na niego jest sposób. Metoda prosta. Układają się amatorzy gratisowej jazdy na całej szerokości jezdni i kierowca musi zatrzymać wóz. Wtedy spokojnie wstają, wsiadają do wozu i jadą dalej. Na szczęście rzadko stosują tę metodę.

CYWILIZACJA, KONTRA PRZYRODA

Polski „dziki zachód" a raczej wschód, przestaje być dzikim. W coraz mniejszym stopniu nieprzebyte bieszczadzkie gąszcze opierają się zakusom cywilizacji. Ekspansja gospodarcza na tych terenach postępuje bardzo szybko. Powstają coraz to nowe obiekty przemysłowe. W Rzepedzi i Uhercach buduje się nowoczesne kombinaty drzewne. Jednocześnie rosną niczym grzyby po deszczu nowe osiedla dla robotników, budowane według najnowszych zdobyczy techniki budowlanej. W Myczkowcach na Solince powstała wielka zapora wodna. Jednocześnie istnieją plany wybudowania tam elektrowni wodnej. Obecnie nad Solinką króluje piękny hotel dla energetyków. Władze centralne coraz poważniej noszą się z zamiarem pełnego wykorzystania bieszczadzkich źródeł mineralnych znanych już w ubiegłym stuleciu. Wzdłuż budowanego obecnie „okrąglika" coraz odważniej rosną domki jednorodzinne. To liczne już obecnie rodziny rolników osiedlają się w Bieszczadach. Na odludnej wiejskiej ścieżynie nierzadko można spotkać ogromny ślad łapy niedźwiedzia, a niedaleko wre praca przy budowie drogi, czy wyrębie lasu.

Ekspansja gospodarcza, wzrost popularności danego obszaru kraju, powodują zwiększenie ruchu turystycznego na tym terenie. To z kolei wymaga zapewnienia odpowiednich warunków turystom. Pod tym względem w Bieszczadach nie jest najlepiej. Brak zupełnie schronisk turystycznych, hoteli. Bazy ZSP, choćby chciały, to i tak nie są w stanie zapewnić odpowiedniego noclegu wszystkim chętnym. Władze wojewódzkie, a nawet centralne winny poczynić pewne starania w celu zbudowania jakiejś planowej sieci schronisk turystycznych, o ile nie chcą zahamować rozwoju turystyki. Wciąż jeszcze najpewniejszym schroniskiem jest noszony w plecaku namiot.

W tej krainie kontrastów, gdzie do niedawna panowała niepodzielnie przyroda, obecnie trwa bezkrwawa walka cywilizacji z przyrodą. Warto pomyśleć nad tym, aby utrzymać rozsądną równowagę między interesami gospodarczymi kraju, a urzekającą przyrodą Bieszczad. Przecież turyści w dużym stopniu przyczynili się do popularyzacji tych terenów, więc niech i dla nich coś zostanie.

M. ZEGAROWSKI

Bieszczady — Halicz (1335 m) i Rozsypaniec z Krzemienia (1335 m)

Psy patrzą na nas

Potrzebę unormowania tych spraw sygnalizowano już niejednokrotnie: zwierzęta, żyjące obok człowieka, są zagrożone. I to zagrożone przez człowieka właśnie: przez jego bezmyślne — a niekiedy rozmyślne — okrucieństwo. Sprawa, wbrew pozorom, nie jest błaha. Warto bowiem zapytać, czy człowiek, nie respektujący elementarnych praw współżycia, obowiązujących w naturze i zakładający, że w stosunku do zwierząt nie obowiązują go żadne reguły moralne będzie zdolny do respektowania umowy społecznej? Zwierzęta, jak powiedziałem, są zagrożone i niewiele pomogą tu chyba bezradne — choć odzywające się coraz częściej — głosy publicystów; tak jak niewiele pomoże działalność kilku miłośników zwierząt, skupionych w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami. Jeśli nie chcemy być świadkami wytrwałej eksterminacji, sprawą uregulowania stosunków między człowiekiem a zwierzęciem powinno chyba zająć się prawo. Ba, podobno się i zajmuje. Ale nie w Łodzi. Cóż z tego bowiem, że Ministerstwo Gospodarki Komunalnej rok już chyba temu wydało zarządzenie, które zabrania rakarzom łapania psów i kotów na ulicach miasta? Cóż z tego, że Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami wystąpiło nawet do Prokuratury o interwencję? Zarządzenie nie jest respektowane i rakarze nadal działają. I mimo wyraźnego zakazu władz wciąż jeszcze jesteśmy świadkami scen, które nie powinny mieć miejsca w cywilizowanym świecie. We wszystkich większych miastach kraju, w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, rakarze zostali zmuszeni do zaprzestania swej działalności. Ale w Łodzi psy nadal padają ich ofiarą: i to psy rasowe, psy zarejestrowane i zaszczepione. Giną na elektrycznej płycie albo zabite pałką. A „płyta elektryczna — jak czytamy w memoriale złożonym przez TOZ w Wydziale Gospodarki Komunalnej — właściwie nie funkcjonuje" i pies nie jest zabijany ale smażony.

Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami jest, niestety, prawie bezradne. Czymże bowiem jest dobra wola kilku ludzi wobec okrucieństwa i równie okrutnej obojętności? Tych kilku ludzi nie ustaje co prawda w staraniach. Pragnęliby zorganizować w Łodzi — za przykładem innych miast — schronisko dla bezdomnych zwierząt. Pragnęliby przejąć część budynków rakarni, by założyć tam schronisko tymczasowe i by móc kontrolować pracę rakarzy. Sprawa rozbija się o kawałek ziemi, na którym można by zbudować schronisko i o dwa lub trzy etaty. I sytuacja się nie zmienia. Mimo zarządzenia Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, mimo wielokrotnych interwencji Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Wydziale Gospodarki Komunalnej. Właściciele psów są bezbronni. I psy wciąż giną.

R.

EWA OSTROWSKA

Antybaedeker

DRAMAT MAŁEJ CZARNEJ

czyli: KLIENT NASZ PAN

1. INWOKACJA

Pan, szanowny Konsumencie dóbr materialnych i duchowych, opanował celująco sztukę narzekania tak na jedne jak i na drugie. Za przypalony kotlet schabowy czyni pan winnym nie tylko kelnera, który ośmielił się go panu podać, kierownika restauracji, którą zaszczycił pan swoją obecnością, lecz całą polską gastronomię, mało! — i gospodarka narodowa ponosi odpowiedzialność, że tego i tego dnia, w takiej i takiej restauracji, właśnie panu — a nie komu innemu — trafił się przypalony kotlet schabowy. Bo gdyby przypadł on obywatelowi z sąsiedniego stolika, wszystko byłoby w porządeczku: i gospodarka, i gastronomia, i restauracja — cacane. Bo pan, szanowny Konsumencie, jako pełnoprawny obywatel, posiada zagwarantowany Konstytucją przywilej narzekania, a jako klient — zawsze musi pan mieć rację. Inna rzecz, drogi Konsumencie, że coraz rzadziej zachowuje się pan jak obywatel, a coraz częściej — wprost przerażająco często — wyłącznie jak klient, bez względu na to, czy konsumuje pan tenże przypalony kotlet, czy też na przykład ogląda pan film produkcji polskiej. Materia czy duch — co tam! — wszystko musi być na pana usługach. Będąc tylko i wyłącznie klientem żąda pan dla siebie należytego obsłużenia w imię swoich praw obywatelskich.

2. CASUS: „TURECKA".

Niedawno obserwowałam pana, konsumencie, w kawiarni „Turecka". Kto jeszcze nie zna w Łodzi tej kawiarni, niech żałuje: najlepsza kawa w naszym mieście! Trochę droga, gdyż mała czarna kosztuje sześć złotych czterdzieści groszy, ale warto, bo mała z „Tureckiej" starczy za trzy duże z którejkolwiek innej łódzkiej kawiarni. Nawet z osławionej i przesławionej „Honoratki". Zysk czysty, doliczając ponadto kulturalny personel, spokojną atmosferę. Twórców w „Tureckiej" mało — nikt nikomu przynajmniej jak do tej pory — nie podbił oka w sporze „Frisch czy Dürrenmatt", ani nie wybił zębów w imię odmiennych zasad intelektualnych, słowem: cicho, przyjemnie, czysto. Okazuje się, że nawet w miejscu publicznym można zachować kulturę. Przyszedł pan, drogi konsumencie, i ledwie pan usiadł, nie zdążył jeszcze papierosa zapalić, a już, głosem podniesionym, z pretensją, na przechodzącą kelnerkę (starszą osobę): „Proszę pani!!!" (trzy wykrzykniki). Kelnerka podeszła, uśmiechając się uprzejmie. Pan zamówił kawę tonem przypominającym warknięcie: „Małą!!!". Kelnerka przyniosła dzbanuszek z kawą, (w „Tureckiej" każda porcja kawy parzona oddzielnie, w specjalnych dzbanuszkach) filiżankę. Na co pan, oburzony: „Pijam tylko wszklance" (trzy wykrzykniki). Później przywołał pan warknięciem kelnerkę, gdyż „cukru za mało, niech pani przyniesie dodatkową porcję". Następnie zażądał pan warknięciem „Wuzetki", którą pan obwąchał, ze wszystkich stron, lecz widocznie pański nos zaakceptował ciastko, bo miał się zabrać pan do zjedzenia, gdy upadła panu łyżeczka na podłogę. Więc pan: „Proszę pani!". I znowu kelnerka z uprzejmym uśmiechem i uprzejmym „słucham pana?". A pan, obruszony do głębi: „Łyżeczka mi spadła, nie widzi pani? Cóż to? Brudną będę jadł?". Kelnerka przyniosła panu czystą łyżeczkę, choć już bez zawodowego uśmiechu, lecz wciąż z ugrzecznionym: „Służę panu". Jednak pan nie zareagował. Chociaż fatygował pan kelnerkę tyle razy, nie wysilił się pan powiedzieć jej: „dzię kuję".

— Kelnerce? A po co? Za to jej płacą, aby pana, konsumenta, należycie obsługiwała, czyż nie tak pan uważa, proszę pana? A w ogóle, co to takiego jest ta kelnerka, żeby jej aż dziękować?

3. CO TO TAKIEGO JEST KELNERKA?

Oficjalnie: zawód. Wymagane warunki — przynajmniej wykształcenie podstawowe, plus tak zwana „książka kelnerska", czyli inaczej, długoletni staż pracy. Lub — ukończona Szkoła Gastronomiczna (istnieje taka w Łodzi przy ul. Kilińskiego, pod patronatem ŁZG). Warunki pracy: osiem godzin dziennie. Wynagrodzenie — pensja podstawowa, plus premia. Pensja podstawowa maksimum: dziewięćset — tysiąc złotych. Premia? — ta zależy od wielu czynników, najważniejszym jest obrót kawiarni — prościej: nadwyżki w wykonaniu planu. Ale o premiach później. Dla przykładu: pensja kelnerki z długoletnim stażem pracy w kawiarni „rentownej" z premiami nie przekracza tysiąca... dwustu, z górą trzystu złotych. Kokos to to nie jest, ale umrzeć z głodu też nie można. Świadczenia społeczne — wszystkie. Ochrona Związków Zawodowych.

A więc, drogi Konsumencie, kelnerka — to określenie zawodu równie dobrego, jak każdy inny. Jak pana, panie mecenasie, i pana, panie inżynierze, i pana, panie inteligencie — i pana: obywatelu Konsumencie Masowy. Jednak różnica polega na tym, że pan, wykonując swój zawód, wszystko jedno, czy jest pan dyrektorem, czy robotnikiem, żąda pan dla siebie szacunku we wzajemnych stosunkach, kultury w zachowaniu i często narzeka pan na innych obywateli, którzy potraktowali pana nie jako obywatela, lecz jako klienta, natomiast w stosunku do pracownicy kawiarni wypełniającej swój zawód, pan, panie Konsumencie, stosuje kryteria zgoła przeciwne od tych, jakich wymaga pan dla siebie.

4. KAWA MAŁA ALE TRUDNO

Gdyby mała czarna w dalszym ciągu pozostawała własnością prywatną, wtedy wiadome byłoby, że powinna przynosić jak największy dochód jak najmniejszym kosztem, i wtedy jej właściciel, dbający o własną kieszeń oraz kelnerka, troszcząca się o swoją posadę, byliby zobowiązani kłaniać się klientowi w pas, gotowi na każde jego skinienie, wtedy hasło: „Klient ma zawsze rację" — miałoby swoje ekonomiczne tudzież każde inne uzasadnienie i wtedy, wynikająca z tego hasła pointa: „...więc klient to nasz pan..." stałaby się w pełni usankcjonowana oraz usatysfakcjonowana.

Hasło istnieje, pointa — w domyśle i w praktyce — również, chociaż mała kawa przestała być własnością prywatną, co nie przeszkadza wcale, że jest towarem wystawionym na sprzedaż. Popyt, podaż, zysk, strata, manko, deficyt, plan, marża — wszystko dotyczy jednej małej kawy. Handluje się nią, i na to nie ma rady, a jak handluje się, to powinno się i zarabiać, a nie dokładać do interesu; i w ogóle z jakiej racji kawiarnia ma być instytucją charytatywną? Zaś mała kawa — darmową?

Mała kawa obarczona została długim szeregiem jeszcze innych powinności. Dla nabywcy — musi to być towar z pierwszego sortu. Dla sprzedawcy, z podobnych przyczyn — musi być wydajna. Stąd — częste nieporozumienia między oferującym a kupującym. Pierwszy argumentuje: jakość kawy jest w zgodzie z normą ustaloną przez PIH, co drugi natychmiast ripostuje: co to za norma, jeżeli kawa jest do luftu? Racja pierwszego oczywista, racji drugiego zaprzeczyć nie można. Więc co? — sam Salomon nie wystarczy do rozstrzygnięcia sporu, bo musiałby wykazać się znajomością praw logiki ekonomii.

A mała kawa ugina się pod brzemieniem świadczeń. Musi opłacić utrzymanie własnego lokalu, pensje swoich pracowników, wnieść dochód do puli ogólnej, smakować konsumentowi, zapewnić mu w lokalu kulturalną, a niekiedy i wychowawczą atmosferę. I planu jej zawalić nie wolno, bo plany są po to, aby je wykonywać z procentem.

Każda kawiarnia ma plan produkcyjny. Ustala taki bez trosko, że w danym miesiącu kawiarnię Entą odwiedzi taka to ilość gości, wobec tego kawiarnia musi sprzedać tyle to małych kaw, a tyle ciastek, a tyle wina, i tak dalej, dalej, i tak dalej. Plany przewidują nieomylnie, z dokładnością do ułamków dziesiętnych. Tylko co będzie z planem, jeżeli szał odchudzania ogarnie wszystkie panie, odwiedzające kawiarnię Entą, i żadna przez okrągły miesiąc nie zamówi ani jednego ciastka? Albo: jeżeli kawiarnię Entą upodobają sobie chorzy na serce i będą pić tylko wodę sodową? Na wodzie sodowej kawiarnia zarabia pięć groszy, wówczas klęska, bankructwo, z planem klapa, kelnerka otrzymuje gołą pensję, kierowniczka reprymendę od dyrekcji, a konsumenta mało to wszystko obchodzi, bo i co może go w końcu obchodzić plan? On zamawia to, na co ma ochotę. I słusznie. Bo dla kogo jest przeznaczona kawiarnia? Do użytku i pożytku konsumenta. Plan nie przewiduje takiej okoliczności. Plan jest bezwzględny w stosunku do kieszeni konsumenta. Na szczęście konsument potrafi się obronić. Tylko, że kelnerka nie potrafi, bo obcina się jej premię, — a i tak jej pensja zależy od wielu czynników, czasami zresztą dziwnych, gdyż staż i kwalifikacje, to sprawa oczywista, ale co ma kategoria kawiarni do pensji? — Okazuje się, że dużo ma gdyż w miarę, jak rośnie cennik na małą kawę (wzrasta według kategorii lokalu), proporcjonalnie zwyżkuje pensja kelnerki (tak wiele znowu nie, bo różnica w cenie kawy między lokalem pierwszej kategorii, a drugiej wynosi dziesięć groszy). Kierowniczka kawiarni też nie posiada motywów usprawiedliwiających fakt: dlaczego konsument wypił jedną małą kawę, a nie trzy duże, przewidziane planem? Dlaczego konsument siedział trzy godziny nad butelką cytrusu, a nie piętnaście minut nad butelką wina? Dlaczego konsument nie opłacił kosztów utrzymania stolika (przeciętne utrzymanie — bez premii — stolika w kawiarni kosztuje osiemdziesiąt złotych).

Coś tu nie gra w takim planowaniu.

Może błąd tkwi w prostym fakcie, że kierowniczka kawiarni nie bierze żadnego udziału w planowaniu obrotu dla swojego lokalu, dostając plan gotowy „z góry"?

6. KONSUMENT TEŻ MOŻE BYĆ MANKOWICZEM.

Właśnie. Może być. Najczęściej też jest główną przyczyną manka. Co prawda, w łódzkich kawiarniach manka, w czystym tego słowa znaczeniu, zdarzają się rzadko. Najwyższe manka nie przekraczają tysiąca złotych, i są już dużym wydarzeniem oraz właśnie zasługą konsumenta. Tak, tak, panie konsumencie. Smutne, ale prawdziwe. Ile razy wychodził pan z łódzkiej kawiarni po „angielsku", bez pożegnania i zapłacenia rachunku? Parę dni temu, w „Egzotycznej" zostawił pan nieuiszczoną należność na ponad trzydzieści złotych. I nie tylko w „Egzotycznej". Tu i ówdzie trafia się panu zrobić taki dowcip. Ale powiada pan — kelnerki i bufetowe kradną. Majątki zbijają na małej kawie. Tak ładnie pan uogólnia. Kawa panu nie smakuje — proste — jest oszukana, nawet sprawdzić nie ma po co, wia domo z góry, że złodziejstwo. — Ocenia pan łaskawie zawód kelnerski. A gdyby na podstawie pańskich popełnionych tylko w ciągu jednego tygodnia „angielskich" ucieczek, zawyrokować o wszystkich łódzkich konsumentach, że są złodziejami? Czy przez kilku (nastu) konsumentów — mankowiczów wolno osądzać całą resztę uczciwych?

7. KONSUMENT — NASZ PAN?

Ekspres parzy jednorazowo dwadzieścia pięć małych kaw. Jeżeli na przykład w „Egzotycznej" znajduje się miejsce na sto osób, a pracują dwie kelnerki, to każda z nich musi obsłużyć pięć dziesięciu gości. Powiedzmy, że w obecnej chwili na sali kawiarni znajduje się tylko dwudziestu sześciu klientów, i że wszyscy zamówili tylko małe kawy, nikt dużej. Niestety, proszę pana dwudziestego szóstego, pan musi zaczekać na swoją kawę do następnego parzenia. Jeżeli zaś pan wywodzi się z gatunku konsument — schemat (patrz: „Casus" — Turecka), więc podniesie pan alarm, zwymyśla kelnerkę, wpisze naganę do książki zażaleń.

Bo kelnerka, to już nie obywatel. Klient ma zawsze rację. A pan jest klientem więc pan musi mieć rację. A takich klientów kelnerka w ciągu dnia obsłuży ilu? — stu, dwustu. Każdy z nich posiada potencjalne prawo zwrócenia jej uwagi. Każdy jest jej bezpośrednim zwierzchnikiem, oceniającym jej pracę. Pan w swojej pracy odpowiada tylko przed kilkoma, ona zaś przed panem — Masowym Konsumentem w dodatku, albo jej pan nie raczy wcale zauważyć, albo zauważa ją pan dosadnie. Bo kelnerka, w opinii masowej, jest kimś, kto tylko usługuje, kastą niższą. Pozaobywatelską. Wolno ją panu obrazić, potraktować jako potencjalną — lub i nie — złodziejkę, lub osobę lekkiego autoramentu.

8. INCYDENT — SCHEMATYCZNY

Do „Staromiejskiej" weszło dwóch nienagannie ubranych, lecz nagannie zatą czających się panów. (schemat). Południe, mało gości na sali. Dwaj panowie pragnąc podtrzymać stan euforii alkoholowej zamawiają wino. (schemat) Kelnerka oponuje, gdyż zgodnie z przepisami — w stanie nietrzeźwym w kawiarni przebywać nie wolno. Panowie również oponują, lecz korzystając z bogactwa polskiego słownika. Interweniującą kierowniczkę kawiarni (wymagane kwalifikacje: długoletni staż plus wykształcenie średnie ekonomiczne. obrzucają jeszcze jędrniejszym.)

Klient, nasz pan, klient zawsze ma rację.

Jaka szkoda, że klient, wymagając od małej kawy kulturalnej atmosfery, zapomina o sprawie najprostszej: że co jak co, ale aurę kawiarni tworzy on sam. Ten klient. Nasz pan.

informacje i zaczepki

Łódzki dramaturg i aktor Karol Obidniak otrzymał od Heindricha Kunstmanna interesującą propozycję. Tłumacz wyraził mianowicie chęć przełożenia na język niemiecki sztuk Obidniaka: „Pokój pełen dymu", „Dark Glory" oraz (nie wystawianą jeszcze) „Barmankę".

●

„Głos Rosyjski" opublikował w ostatnim numerze interesujący wywiad z przewodniczącym Rady Narodowej m. Łodzi mgr E. Kazmierczakiem. Z wywiadu dowiadujemy się między innymi o planach rozszerzenia dotychczasowych kontaktów z Iwanowo-Woznieseńskiem, największym w Związku Radzieckim ośrodkiem przemysłu bawełnianego.

●

Efekty akcji upiększania Łodzi coraz częściej stają się widoczne. Tej jesieni przybędzie naszemu miastu 30 tysięcy drzew. Wydaje się, że tego rodzaju „dekoracja" jest z pewnością rozsądniejsza, tańsza i trwalsza niż pacykowanie frontonów w pastelowe kolory, które łódzki dym potrafi w ciągu pół roku dokumentnie „stonować".

●

Pewnej pani skradziono zegarek marki „Pallas" (Pallas Atena — grecka bogini mądrości). Złodziejem okazał się adorator właścicielki. Jerzy Gliksman z „Głosu Robotniczego" zaopatruje notkę o tym zdarzeniu tytułem „Randka z Merkurym" (Merkury — grecki bóg złodziei). Jest to jeden z najdowcipniejszych tytułów, jakie zdarzyło się nam znaleźć w łódzkiej prasie w ostatnich tygodniach. A w ogóle to zanika sztuka atrakcyjnych tytułów. Informacje i zaczepki będą zatem wyróżniać najlepsze i najdowcipniejsze tytuły zamieszczone w łódzkich gazetach.

●

W Polskiej Akademii Nauk powstała Komisja Demograficzna. Przewodniczącym tej nowej placówki naukowej został prof. dr Edward Rosset z Uniwersytetu Łódzkiego.

●

„Technicy interesują się humanistyką, humaniści nie przejawiają raczej zainteresowania techniką". Tak sądzi niezidentyfikowany felietonista „Dziennika Łódzkiego". Jest to taka sama prawda, jak ta, że Tuwim napisał „Wiersz satyryczny o hydrauliku" — o czym przekonywał nas kiedyś w wywiadzie prasowym pewien kierownik katedry mechaniki.

J. W.

Franciszek Sługocki

JERZY WILMAŃSKI

NA GDAŃSKIEJ MIESZKA HISTORIA

Tak jest. Na ulicy Gdańskiej w Łodzi mieszka historia. Na rogu przy Obr. Stalingradu znajduje się niski, szary budynek. To Muzeum Ruchu Rewolucyjnego. Miejsce znane łodzianom dobrze. Nie o nim jednak dzisiaj będzie mowa. Otóż kilka domów dalej, w dużej kamienicy oznaczonej numerem 18, mieszka pan Franciszek Sługocki.

Nie wierzycie, że ten blisko 80-letni rzeźbiarz to także historia? Posłuchajcie:

„Ojciec zawsze prowadził nas na uroczystości patriotyczne. Za moich chłopięcych lat sprowadzono na Wawel zwłoki Adama Mickiewicza. Byłem mały, ojciec podsadził mnie, abym mógł wszystko zobaczyć. Szły Cechy z chorągwiami. Następnie jechał karawan zaprzężony w cztery czarne konie, a za karawanem szedł syn Mickiewicza".

Kraków — bo tam właśnie urodził się Franciszek Sługocki — lubił pogrzeby. Pokpiwał wszak z tego sam Boy-Żeleński. Nic więc dziwnego, że w umyśle młodego wówczas chłopca zostało jeszcze jedno podobne wspomnienie — pogrzeb Jana Matejki. *„Przed karawanem niesiono na atłasowej poduszce srebrne berło — dar miasta Krakowa. Pochód żałobny otwierali natomiast krakusy i górale. Dalej szła rodzina Matejki i Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego. Potem nieprzeliczone tłumy krakowian".*

Dajmy jednak spokój historycznym pogrzebom. Los uparł się, aby kierować kroki Franciszka Sługockiego wszędzie tam, gdzie jeszcze nieśmiało i nieprzeczuwalnie rodziła się historia. Otóż podziwiał na przykład na scenie Juliusza Osterwę. Ale nie Osterwę — twórcę „Reduty", ale Osterwę, ucznia gimnazjalnego, kolegę szkolnego. Podziwiał Osterwę nie w wielkim, klasycznym repertuarze, ale w małej patriotycznej sztuczce reżyserowanej przez miejscowego prefekta. *„Nie przewidywałem wówczas* — mówi Franciszek Sługocki — *że po osiemnastu latach spotkam się znów z Osterwą, lecz tym razem z wielkim artystą sceny polskiej".*

Pierwsze kroki na drodze do socjalistycznego światopoglądu stawiał również w Krakowie. Franciszek Sługocki zachował w swej pamięci wiece na Podgórzu i Zwierzyńcu, wiece z udziałem Ignacego Daszyńskiego. *„Daszyński znał mnie dobrze* — mówi — *i rozmawiał ze mną o młodzieży rzemieślniczej, o kółkach ideologicznych. Interesowały go treści wykładanych odczytów, kto wykłada i jak wykłada".*

Ale to dopiero początek. Los miał jeszcze dla Sługockiego niejedną niespodziankę. Pewnego dnia młody uczeń Przemysłowej Szkoły Cyzelatorsko - Rzeźbiarskiej przeczytał w „Nowej Reformie": *„Na wczorajszym posiedzeniu Rada Miejska uchwaliła przyznać stypendium Franciszkowi Sługockiemu w celu uzupełnienia jego artystycznego i fachowego wykształcenia za granicą".*

Na młodego rzeźbiarza czekała Genewa, miasto kipiące od rewolucyjnych ideologii, miasto-azyl uchodźców politycznych. W 1903 r. Sługocki jest świadkiem zjazdu socjalistów rosyjskich w Zurichu. Słucha przemówień Lenina, Plechanowa. Potem po długich i burzliwych dyskusjach jakie odbywały się po zjeździe zuriskim w Genewie nastąpił rozłam... Większość z Leninem na czele utworzyła partię bolszewików, mniejsza grupa na czele z Plechanowem — partię mieńszewików. W kilka tygodni później następuje w partyjnej drukarni przy ul. Caroline 8 pierwsze spotkanie z Leninem.

Młody rzeźbiarz, student genewskiej Ecole des Arts Industriels, mimo braku czasu, który pochłaniają odczyty, wiece i dyskusje nie porzuca swoich artystycznych zamiłowań. I właśnie w związku z nimi zdarzyło się... posłuchajcie:

„Arnold Gross był miłośnikiem sztuki i właśnie u niego na honorowym miejscu wisiała akwaforta Felicjana Ropsa „L'Orde regne a Varsovie" przedstawiająca drapieżnego sępa i kilku powieszonych patriotów polskich. Gross widząc moje zainteresowanie obrazem powiedział: mam jeszcze parę takich akwafort, to dam panu, a wy rozprzedajcie je między Polakami i zebrane pieniądze przekażcie na „Czerwony sztandar". Tak też uczyniłem — mówi Franciszek Sługocki. — *Urządziłem loterię fantową na 50 biletów po 5 franków. Mało było nabywców więc obniżyłem na 2... Dopiero po wielu latach, w 1922 roku przeczytałem w „Kurierze Warszawskim", że w Genewie odbyła się sprzedaż akwafort Felicjana Ropsa, a za pracę „L'Orde regne a Varsovie" nabywca zapłacił 10.000 franków.*

Można by słuchać godzinami opowiadań Franciszka Sługockiego. Co chwila padają wielkie nazwiska: Paderewski, Krzywicki, Brzozowski...

Z Genewy młody rzeźbiarz wyjeżdża do Paryża. Z dyplomem genewskiej uczelni dostaje się bez trudu do Ecole Nationale Superieur des Beaux Arts... Tu, w Paryżu, na Quai d'Orlean następuje drugie spotkanie z Władysławem Mickiewiczem — synem poety. Sędziwy syn Adama pełni w bibliotece polskiej funkcję bibliotekarza. Sługocki rzuca się w wir artystycznego życia. Przesiaduje w muzeach, bibliotekach, odwiedza kabarety „Moulin Rouge" i „Chat Noir", które, jak wiadomo, obrosły po latach w niemałą legendę. Tu oglądał na scenie genialną tragiczkę francuską Sarah Bernhardt. Kiedy po kilku latach wyjeżdżał z Paryża nie wiedział zapewne, że wróci tu jeszcze w 1928 roku, aby jako uznany już rzeźbiarz, przyjmować zamówienia od dyplomatów i artystów. Na razie jednak Sługocki wraca do Szwajcarii, gdzie rozpoczyna pracę w Chaux de Fonds. I tu czas na przednią anegdotkę. Posłuchajcie: *„Oto jaka przygoda spotkała pana Lachenalle — prezydenta Szwajcarii. Będąc zapalonym myśliwym wybrał się kiedyś na polowanie tuż przy granicy Francji. W zapale buszując po zagajnikach znalazł się na terytorium francuskim. Nie wiedząc o tym wcale ubił jeszcze zająca i już chce wracać, aż tu wyrasta przed nim żandarm.*

— *Przepraszam — pyta — czy ma pan pozwolenie na polowanie?*

— *Owszem — odpowiada p. Lachenalle i podaje papier.*

— *No tak — mówi żandarm — niby w porządku, ale pan ma zezwolenie na odstrzał tylko na terenie Szwajcarii, a tu już jest Francja. Muszę spisać protokół. Nazwisko?*

— *Lachenalle.*

— *Zawód?*

— *Prezydent Rzeczypospolitej Szwajcarskiej.*

Żandarm szybko uznał, że w tym szczególnym wypadku lepiej będzie nie spisywać protokołu".

Opowieść p. Franciszka Sługockiego roi się od podobnych uroczych zdarzeń i anegdot. Wiele jeszcze ciekawych spraw, wiele ciekawych nazwisk padło w tej opowieści. Barwne, ciekawe życie nie oszczędziło Sługockiemu pełni wrażeń. Pękate teczki maszynopisów „Wspomnień" mieszczą w sobie całą historię tego niecodziennego życia. Czy nie warto, by zainteresowało się nimi któreś z wydawnictw?

JERZY JARMOŁOWSKI

DRZEWA

Drzewa umierają długo
rany sloi dziurawych
drzwi
i schodów
milczą
pod naciśnięciem stopy
sęk objawia
niepowiedziane
wystarczy porąbać deskę
nazwać drewno
jesteśmy rozgrzeszeni

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

CIEŃ

Zbyszkowi Jerzynie

Jak dotychczas
jeszcze się szamoczę
ze swoim cieniem
odparowuję ciosy
albo spadamy
z siebie
— dyszy ciężko...
w gruncie rzeczy
lubimy się mój drogi
przykro byłoby mi
rozstawać się z tobą
kiedyś...

(Zima 1962)

CHORY

W zastygłym słupie
powietrza
zapach marca
spod śniegu
i rzeźbiony po tobie
ślad
spod śniegu dudni
przetrącony tętentem
step
ślad tamtej dłoni
zawieszony na ścianie
ślad po karabinie
tamten głos
i ten dogasający węgiel
i ta dopalająca się noc
nie obejrzę świata
przez grudkę bólu
o umarły
umarły mój
podaj mi rękę.

MARIAN PIECHAL

RATUJCIE DZIECI!!!

Przed czym? Przed grafomanią autorów, piszących dla dzieci. Przejrzałem kilkanaście reklamowanych ostatnio tytułów książek dla dzieci i ogarnął mnie niepokój. Sięgnąłem po dalsze kilkadziesiąt książek dla dzieci i ogarnęło mnie przerażenie. Ileż tu sieczki słownej, ileż zwietrzałych trocin pojęciowych, ileż pustych plew jałowej wyobraźni! Te cud-baśnie, te baj-bajki, te bajdy-bujdy, te niesamowite banialuki, te płaskie brechty, te minoderyjne ple-ple o czymkolwiek, o niczym, o „fiku-miku na patyku" — cały ten bełkotliwy śmietnik słowny, cała ta skisła od bezsensu papka i spleśniała bryja nieskładnego bredzenia — to ogromna ilość naszej aktualnej produkcji literackiej dla dzieci, która przechodzi w zabójczą jakość. Ta literatura to wylęgarnia przyszłych nieuleczalnych schizofreników. Jakąż bowiem treść zawiera? Co w niej dominuje? Z jednej strony szklana góra, zaklęte królewny, smoki, krasnale, duszki i skrzaty, a z drugiej strony maszyny, motory, konstrukcje elektronowe, pojazdy astronautyczne i latające talerze. Tu samograj katarynkowych strofek, tam zgrzytliwy rym i kulawy rytm. Tu ckliwa starzyzna, tam bezmyślna pseudonowoczesność. Mistyka i scjentyfika w jednej zupie!

Biedne dzieci! Na jakież nieprawdopodobne zabagnienie wyobraźni i myśli narażone są zaraz od początku przebudzenia się ich świadomości? Jakaż potężna iniekcja głupoty w zaraniu ich pierwszego spojrzenia na świat? Kwiat zatruty w zalążku! Świeżość rozkwitu porażona cknilością rozkładu!

I pomyśleć, że przeważnie tych pozycje tylko z ostatniego roku. Oczywiście są i tutaj wyjątki. Nawet znakomite. Dość przypomnieć klasyczne już dziś pozycje takich autorów jak Kornel Makuszyński, Juliusz Kaden-Bandrowski, Janusz Korczak, Julian Tuwim, Jan Brzechwa i K. I. Gałczyński. Można by dorzucić do tych znakomitych nazwisk jeszcze i dalsze, pisarzy z prawdziwego zdarzenia, którzy bądź jako autorzy, bądź też jako tłumacze wybitnych utworów dla dzieci z języków obcych, starają się przeciwstawić tej zaiste że apokaliptycznej powodzi szmiry literackiej dla dzieci, jaka nas zalewa rok w rok.

Kto ją pisze, tę szmirę? Przeważnie ci, którym się nie udało lub nie udaje pisać dla dorosłych. Jak gdyby pisanie dla dzieci było rzeczą łatwiejszą, niż pisanie dla dorosłych. A jest wprost przeciwnie. Wielki Henryk Sienkiewicz dopiero po „Trylogii", po „Krzyżakach" i po „Quo vadis" odważył się napisać „W pustyni i w puszczy". Tak samo Maria Konopnicka jak i Julian Tuwim dopiero pod koniec życia po wspaniałej praktyce swej uskrzydlonej liryki zaczęli pisać utwory dla dzieci. Chyba dość tych trzech przykładów, aby dowieść, że utwór dla dzieci z prawdziwego zdarzenia wymaga nie mniej, lecz więcej biegłości i doświadczenia pisarskiego, niż utwór dla dorosłych. Biegłości nabiera się w miarę doświadczenia, ale nic z tego, kiedy doświadczenia nie podpiera talent.

Bieżąca produkcja literacka dla dzieci to bezkresna dżungla, od której stroni z daleka szanujący się krytyk i w którą rzadko zapuszcza się bardziej odważny recenzent z ostrym skalpelem swej sprawiedliwej oceny. Zazwyczaj każda pozycja dla dzieci zbywana jest w prasie zdawkowymi wzmiankami, co najwyżej z szerszym potraktowaniem jej szaty graficznej oraz pochwałą mniej lub bardziej sensowną jej strony ilustracyjnej. Czas już, panowie krytycy i recenzenci, czas już wielki zabrać się wreszcie do poważnej wentylacji krytycznej gigantycznego śmietnika współczesnej literatury dziecięcej, czas już zacząć plewić zachwaszczony niemożliwie ugór, oddzielać rzadkie ziarna od bezlitu plew.

Że warto w tym zakresie popracować, wystarczy następujący przykład: wyszła przed kilku miesiącami w pięknym opracowaniu graficznym książka dla dzieci pt. „Przygody nie z tej ziemi". Zawiera zbiór listów pisanych niby przez same dzieci w wieku lat przeciętnie 10. O czym mówią te listy? O bezkrytycznym fetyszyzmie techniki a pogardzie dla żywej przyrody, dla świata roślin, drzew i zwierząt. Zasadą życia tych młodocianych korespondentów pono „Płomyczka" i „Świata Młodych" jest bezwzględny hedonizm, a maszynolatria we wszelkiej postaci staje się ich obsesją, ba, nawet nie drugą, lecz pierwszą naturą. Piszą, na przykład, z zachwytem, że za sto lat zwierzęta nie będą już potrzebne, bo zastąpią je maszyny, rośliny też nie będą potrzebne, bo zastąpią je laboratoria chemiczne, wszyscy odżywiać się będą pigułkami i pastylkami, a uczyć się nie będzie potrzeba, bo zrobi to za nich panuniwersalny mózg elektronowy. „Do szkoły będziemy chodzić, ale tylko będziemy się uczyć obsługiwać maszyny, czytać i pisać nie będziemy, bo będziemy wszystko widzieć i słyszeć" — tak pocieszająco przedstawia sobie przyszłość niejaki Krzyś Lipiński z Olsztyna, widocznie nie bardzo tęgi, nieboraczek, w nauce czytania i pisania. Inny podobnie naiwny chłopiec pisze, że w przyszłości wszystko za ludzi będą robiły maszyny, nawet myślały, ludzie natomiast całkowicie będą uwolnieni od pracy, będą tylko jedli (te pigułki a oraz i pastylki) i się bawili w rozmaite rozrywki. Jakie? O tym pomyśli za nich mózg elektronowy.

No i wszystko jeszcze byłoby do zniesienia, gdyby nie ostatni list od samego autora tej książeczki, który całkiem na serio zapewnia tych młodocianych hedonistów i dobrowolnych kandydatów na bezdusznych robotów: „Tę książkę, jak to chyba spostrzegłeś, czyta się jak baśń prawdziwą, wiemy tylko, że baśń ta stale będzie się zmieniała w prawdziwą opowieść, czyli, jak to mówią dorośli, będzie się urzeczywistniała". I kończy sentencją: „To, co dzisiaj jest baśnią, jutro stanie się rzeczywistością".

Czy aby na pewno? Mam wątpliwości, bo jedna z jego korespondentek, niejaka Danuta Trzeciecka, lat 11 z Wólki Krzykowskiej (woj.

Dokończenie na str. 8

JERZY WALEŃCZYK

SPOTKANIA z CZASEM

Roman Zrębowicz

Oto ciekawa książka, dająca dużo satysfakcji z mnóstwa anegdot, z ciągłego obcowania ze sztuką, z fascynacji jej zjawiskami, kontaktów ze światem artystycznym. Książka ta będzie chętnie czytana przez tych, którzy są spragnieni ciekawostek ze świata sztuki, z ostatnich pięćdziesięciu lat. Przez tych, którzy chcieliby zaczerpnąć trochę odżywczego powietrza tamtych lat.

Autor prezentuje się czytelnikom jako człowiek bardzo bliski sztuce, oddychający atmosferą kultury, smakosz. Jest tu klimat ciągłego adorowania sztuki przez jej wielbiciela, który przedstawia się czytelnikowi w stylu nieco może czasami patetycznym, celebrującym, pontyfikalnym — więc budzącym westchnienie i tolerancję dla konwencji staroświeckich, minionych. Całość książki zanurzona jest w aurę anegdoty, takiej sobie fredrowskiej gawędy, trochę trzy po trzy, bo chyba tu należałoby szukać antenatów tego gatunku literackiego. Jeśli zaś chodzi o łódzkie paralele, to niejakie pokrewieństwa w części książki dotyczącej wojażowania widziałbym z „Cieniami Różowych Gór" Stanisława Czernika.

Autor jest człowiekiem taktownym i dyskretnym. Na przykład jego godna podziwu dyskrecja nie pozwala mu w 1962 roku ujawnić, kto był w 1930 roku sprawcą pogłoski, że ówczesna miss Polonia jest bliską krewną marszałka Piłsudskiego. To wzrusza. Mamy w książce sporo rozmów z wielkimi ludźmi literatury i sztuki. Interesujących rozmów, jakkolwiek nie należy tutaj szukać nowości sensu stricto. Tych konwersacji, wydaje mi się, nie należy traktować zbyt rygorystycznie.

Ciekawostki ze świata, licznych podróży, trochę zwyczajów i obyczajów, a szczególnie fascynacja Paryżem, jego klimat z dwudziestolecia międzywojennego, trochę recept raczej konstruktywnych ale lekkich dla ambitnych młodych ludzi, ale recept, które, niestety, dopiero po zasadniczych zmianach byłyby do zastosowania w życiu.

Niepokojące jest jedno. Całe to życie artystowskie, wrażliwe, nie sumuje się w jakiś definitywny wniosek. A może mi się tylko tak wydaje? Mądrość tej książki polega chyba na tezie, że życie jest tyle warte, ile przeżyjemy piękna.

Ogólna jej tonacja przypomina trochę pitavale zasłużonych adwokatów. Może należy to umotywować profesjonalną swobodą, klimatem kulturalnej konferansjerki, którym czytelnik oddycha. Szukałem tu jakichś rewelacyjnych zdań o sztuce. Nie znalazłem.

To, co autor ma do powiedzenia jako znawca nie jest rewelacją. Więc: „Bosch — niesamowity, Velasquez — potęga realizmu, El Greco — geniusz modernistyczny, Goya — genialny wizjoner".

W poszczególnych artykułach nie dostrzega się jakiegoś indywidualnego profilu, który by mocno się eksponował. Raczej nie znajdujemy nieodwołalnych cech osobowości autora, wiele stron tej książki przypomina refleksje z jakichś starych lektur. Mimo to, książka jest sympatyczna, odsłania stary horyzont, zwłaszcza młodemu czytelnikowi, szokuje również przez to, że jest jakaś niesłychanie uniwersalna. Skala jej problematyki jest olbrzymia. Pozwala to uświadomić młodemu czytelnikowi bardzo istotne zjawisko: paralelizm zjawisk kultury i życia.

Wojaże europejskie Romana Zrębowicza są imponujące, ale punkt widzenia narratora jest nazbyt turystyczny. Choć wiele interesujących drobiazgów skłania do porównań. Na przykład, kiedy czytamy, co autor mógł zjeść za kilkadziesiąt centymów w Paryżu, przed pierwszą wojną światową i jeżeli dowiadujemy się, że budżet miesięczny studenta Sorbony wynosił 150 franków miesięcznie — to każe się zastanowić.

A egzotyka kulinarna tamtych lat, jej gama smaków i potraw skłania autora do następującego zdania: „Kuchnia... oto temat w Polsce bardzo aktualny". Słusznie. Brzuch Paryża podnieca autora do bardzo ładnych opisów obiadu konsumowanego w najdroższej i najstarszej restauracji paryskiej w towarzystwie Borowskiego. Opis ten przekonuje dowodnie, że kultura kulinarna jest integralną częścią kultury narodu.

Z opisów najbardziej podobał mi się zawarty w artykule „Przegrana piękność", kiedy autor opowiada, jak to pewnej nocy w Paryżu po wyborach miss Europy, w których uczestniczył, zagubił się gdzieś w ciemnościach i wydawało mu się, że jest upiorem opery ściganym przez eumenidy z „Wyzwolenia" Wyspiańskiego.

To, co mnie najbardziej niepokoiło, to bliskie pokrewieństwa niektórych stronic ze starym, godnym szacunku Baedeckerem.

Jeśli chodzi o szatę graficzną książki, to wydaje mi się, że Henri Poulain uległ sugestiom zastosowania konwencji raczej nazbyt obliczonej na popularność i to nie wiadomo w jakich kręgach czytelników.

ROMAN ZRĘBOWICZ: „SPOTKANIA Z CZASEM" Wyd. Łódzkie. 1962.

LEOPOLD BECK

„SKANDAL w HELLBERGU" *Broszkiewicza*

To nie żadna sztuka chwalić Teatr Nowy. Ludzie są przyzwyczajeni do tego — zgodnie z rytuałem lokalnym. Ponieważ jednak oddaliśmy już to, co według praw układu heliocentrycznego tylko w centrum świecić powinno ku chwale resortu, przychodzi nam teraz budować Teatr Nowy jakby od nowa. Byliśmy w tej mierze dobrej myśli. Po „Skandalu w Hellbergu" jesteśmy nastrojeni jeszcze bardziej optymistycznie i ze spokojem myślimy o przyszłości tej sceny dwóch scen.

„Skandal w Hellbergu" jest podwójnie interesujący: zarówno tekstowo jak i aktorsko. Ale spektakl ten nie może być uważany za przykład potwierdzający tezę, iż nie ma dobrego aktorstwa bez dobrego tekstu. Wiadomo z dziejów każdej sceny, jak często dobre aktorstwo decyduje o sukcesie sztuki i odwrotnie, jak często słabe wykonawstwo grzebało dobre, a nawet bardzo dobre sztuki. Z „Hellbergiem" rzecz ma się inaczej. Jest to jeden z rzadkich i szczęśliwych wypadków, gdy dramaturg ma coś do powiedzenia i czyni to niezwykle sugestywnie z pomocą świetnych aktorów *).

Tematem głównym sztuki jest sprawa odpowiedzialności. Za co? Za indywidualny zbrodniczy czyn? Czy też chodzi o odpowiedzialność zbiorową za wyzwalanie się wilczych instynktów w ludzkim stadzie? Wtedy nie mamy do czynienia z wieloma zbrodniarzami, lecz właściwie ze zbiorowością. Autor nie pokazuje jakichś „ludzi w ogóle", lecz określoną precyzyjnie społeczność, w której „prawo do zabijania" ma długoletnią tradycję, wywodzącą się nie tylko z nowoczesnego faszyzmu, ale z kultu anonimów ze sztabu generalnego, z ideologii, dla której „germańska substancja biologiczna" była nosicielką sensu natury, inna zaś — szatańska — była nosicielką wszelkiego zła. Prosty wniosek dla podlegających temu obłędowi, że „Übermensch" ma prawo, ba, ma obowiązek zabijania untermenschów, jak to czyni kelner (Janusz Kubicki), który zrzuca swój biały kitel, by mordować w brązowej szacie, jako wódz i wyraziciel woli tłumów.

Scena zbiorowa. Ostatni z prawej Seweryn Butrym. Rola Majora jest świetną kreacją tego aktora. Fot. J. Neugebauer

Widz zapytuje po spektaklu: Czy opis zwierzęcego samosądu, który widziałem, ma oznaczać, że to samo jest możliwe w każdej zbiorowości? Czy oznacza też, że istnieje społeczność, która skupia więcej niż inne egzemplarzy ludzkich, skłonnych do podobnych czynów? A jeśli znajdzie się ich tyle, że określają charakter społeczności, czy społeczność ta jest zdolna — na podstawie urojonych praw — do zwierzęcych samosądów na innych społeczeństwach? Czy może Hellberg Broszkiewicza jest obrazem sedna teutonizmu, chwilowo tylko złagodzonego przez dobrobyt? Ale jaka jego odmiana zwycięży? Megalomańsko-sztabowa Trausena (Butrym), czy też kaci — amatorzy reprezentowani przez Grobera i Szulca (Zygmunt Zintel). Na zwycięstwo jednej z tych koncepcji pracują i porządni Hellbergianie, jak np. uczeni, poborowi i ochotnicy, współczesnej historiografii niemieckiej. W sztuce Broszkiewicza adwokat (Marian Nowicki), ratujący katów, wykłada fałszywą mimikro-historiografię. Głosi on, że wódz jest winny, a nie tłum, czyli winę ponosi kelner Grober, a nie obywatel Hellbergu.

Realizacja tej sugestywnej sztuki nie umniejszyła ani siły i wymowy tekstu, ani tych możliwości, które daje Broszkiewicz aktorom. Zostały one w pełni wykorzystane, przede wszystkim przez Seweryna Butryma i Mariana Nowickiego. Jedna i druga rola (majora i adwokata), należą do najlepszych, jakie ostatnio w Łodzi oglądaliśmy.

***) Hanna Bedryńska, Janusz Kubicki, Seweryn Butrym, Mieczysław Voit, Maria Białobrzeska, Sławomir Misiurewicz, Marian Nowicki, Wanda Jakubińska, Barbara Horowianka, Witold Zatorski, Zygmunt Zintel. REŻYSERIA: WOJCIECH PILARSKI. Scenografia: Iwona Zaborowska.**

KRYSTYNA WOJTASIK

MIŁOŚĆ i NEUTRONY?

Ta sztuka stawia na współczesność. Wskazują na to wyraźnie zarówno jej tytuł oraz fragment odautorskiej wypowiedzi zamieszczonej w programie teatralnym. Oto on: „Trudna nam oprzeć się pokusie skromnego, acz zuchwałego być może pragnienia, by widz odnalazł w tym przedstawieniu chociaż małą cząstkę własnych i otaczających go spraw i niepokojów oraz niektórych wielkich i małych konfliktów naszego wspólnego czasu".

Należy tu od razu zaznaczyć, że pragnienie autorów na pewno nie jest skromne. Po konfrontacji ze spektaklem, rzec można by natomiast, że jest zuchwałe. Bowiem zamiast współczesnego dramatu współczesnych ludzi, zamiast „wielkich i małych konfliktów naszego wspólnego czasu" oglądamy płaską i nudnawą, a starą jak świat historyjkę małżeńskiego trójkąta, której współczesność polega jedynie na czysto zewnętrznych akcesoriach, a więc jest fałszywa i pozorna. Dlatego obecność neutronów w tytule, które bądź co bądź stanowią symbol naszej epoki, budzi podejrzenie propagandowego chwytu, natomiast ich obecność w tekście — zbyt dużej wiary autorów we własne siły.

Zarzuty są poważne i należy je poprzeć dowodami. Może więc najpierw krótkie streszczenie: on, czyli mąż, z zawodu fizyk atomowy, pracujący nad neutronami, ona, jego żona Agata, z zawodu reżyser telewizyjny, i ten trzeci, przeniewierczy brat fizyka atomowego, który ją, mówiąc modnie, podrywa. Na tym właściwie streszczenie można by zakończyć. Ale pokuśmy się o dalsze szczegóły. Otóż Agata nie ma nic przeciwko „podrywaniu", wręcz odwrotnie, mąż zajęty neutronami (równie dobrze mogłyby to być proszki nasenne albo handel galanterią) wyraźnie jej się znudził (i wzajemnie), a ponadto dręczony obsesyjną obawą przed zakażeniem promieniotwórczością (fachowcy doskonale wiedzą, że w pracowniach uczonych są to wypadki niezmiernie rzadkie i spowodowane wyłącznie nieostrożnością), nie chce jej dać dziecka, czego jego brat podejmuje się z ochotą, wykorzystując właściwy moment zjazdu fizyków atomowych w Moskwie. W międzyczasie wszyscy ciągle siedzą przy stole i jedzą, najczęściej w towarzystwie matki obu braci i Marty-lekarki, osoby najzupełniej zbędnej (ze względów dramaturgicznych) w tym gronie, a przy tym zdradzającej wyraźne tendencje do rozbicia domowego ogniska oddanego pracownika atomistyki. Właściwie wszystko byłoby okej, gdyby nie przedwczesny powrót fizyka z Moskwy. Jego brat (oczywiście w tym momencie nakrywający do stołu), rozkochany i nierozważny młokos, czyni mu wyznanie. Mąż dowiedziawszy się „o wszystkim" wsiada na motocykl (samochód jest do wyłącznej dyspozycji Agaty) pędzi do swego laboratorium i tam ulega wypadkowi. I oto na oczach zdumionego widza w Agacie następuje wybuch żoninych uczuć, odprawia nieroztropnego kochanka i pada w ramiona męża. Na tę czułą scenę opada kurtyna i widz daremnie oczekuje konsekwencji moralnych małżeńskiej zdrady i teraz już wie na pewno, że nie pokazano mu ani miłości, ani neutronów. Co mu pokazano, zostało już powiedziane poprzednio.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na jeden moment. Autorzy próbowali w postaci Agaty stworzyć portret współczesnej kobiety. Nieszczególny to portret i do tego fałszywy. Dają nam do wierzenia, że Agata jest reżyserem telewizyjnym, ale na scenie jej praca zawodowa nie odgrywa żadnej roli, nie wpływa na jej postawę ani tryb życia. Na scenie Agata zajmuje się jedynie flirtem, co znakomicie potrafiły robić również nasze prababki; w zajęciach domowych wyręcza ją teściowa, otoczona zresztą wyraźną sympatią autorów, jako, w przeciwieństwie do Agaty, wzorowa matka i żona, poza tym pozbawiona jakichkolwiek zainteresowań. Można mieć i taki ideał kobiety, ale nie jest on na pewno współczesny. Wiemy natomiast doskonale, że kobieta współczesna zmuszona jest łączyć obowiązki zawodowe z obowiązkami domowymi i na tym właśnie polega jeden z najistotniejszych problemów jej życia.

W spektaklu Teatru Powszechnego nie wspomogła, niestety, autorów reżyseria, która, niestety, dostosowała się raczej do rangi utworu, a chwilami wręcz pognębiła go do reszty. Są tu np. sceny retrospekcji. Jak gdyby chińskie cienie pojawiają się więc przy akompaniamencie grobowych głosów z taśmy magnetofonowej, nie tylko rozbijając, bądź co bądź realistyczną konwencję sztuki, ale szokując wprost swą naiwnością i autentycznym kiczem. Siłą rzeczy aktorzy niewiele już tu mieli do zrobienia.

Państwowy Teatr Powszechny w Łodzi. St. Edward Bury i Maria Starzyńska „Miłość i neutrony". Reżyseria: Maria Kaniewska, scenografia: Jerzy Szeski, oprac. muzyczne: Bogdan Pawłowski.

W Łodzi – narada stowarzyszeń kulturalnych

19 września br. rozpoczęła się w Łodzi dwudniowa międzywojewódzka narada stowarzyszeń regionalnych kulturalno-oświatowych, która niewątpliwie pomoże gruntowniej zorientować się w działalności, a także w określeniu kierunków dalszego rozwoju społecznego ruchu kulturalnego. Ożywianie i pobudzanie nowych, różnorodnych inicjatyw kulturalnych w tak zwanej „powiatowej Polsce", w najdalszych miastach, osadach i wsiach zasługuje na uwagę. W następnych numerach powrócimy do omówienia różnorodnych form społecznego ruchu kulturalnego.

Fot. W. Biliński

JEST ICH 20 TYSIĘCY

Dalszy ciąg ze str. 1

dzieci w charakterze niezbitych argumentów, który nie depcze po piętach urzędnikom i działaczom „od przydziałów". A jeśli który z nich kiedykolwiek odważył się zakłócić spokój wysokich urzędników gospodarki komunalnej — to chyba po to, by przyspieszyć sprawę przydziału kilku kilogramów smoły czy paru metrów papy...

DROGA DO DACHU NAD GŁOWĄ

Jest ich w Łodzi około 20 tysięcy. W ciągu siedemnastu lat po wojnie główną ich troską było zachować przed zniszczeniem domek drewniany, czy tarasowany, głównym kłopotem — utarczki z lokatorem, który nie chce płacić czynszu, główną udręką — zabiegi o papę, gwoździe i smołę. A tych utarczek z lokatorami jest w Łodzi dużo — bynajmniej nie dlatego, że w tym mieście nie stać ludzi na zapłacenie kilkunastu złotych komornego za wynajmowaną izbę...

Mówił mi jeden z nich:

— Lokatorka od wielu miesięcy zalegała z komornem, więc idę do niej i pytam, kiedy wreszcie zapłaci, bo z nami — właścicielami małych domków sprawa wygląda tak, że przed władzami finansowymi nie wolno tłumaczyć się brakiem pieniędzy na podatki. — Nie płacą wam lokatorzy — mówią ci od finansów — to ich skarżcie do sądu! Ale człowiek przecież nie chce nikogo strasznyć, więc mówię kobiecinie łagodnie: Ale, wie pani, jeśli na opłacenie telewizora i radia pani odłoży te 50 zł co miesiąc, to na mieszkanie już pani nie ma?

Opory w płaceniu komornego i składek na niezbędne naprawy rozsypujących się nieraz domków mają już bez mała podłoże historyczne. W Łodzi, jak okiem sięgnąć w przeszłość, w społecznym odczuciu człowieka pracy istniał zazwyczaj podział jedynie na dwie grupy obywateli: krwiopijców — a więc Ejtingonów, Poznańskich, Scheiblerów i innych przemysłowców, a więc bogatych kamieniczników ściągających bezlitośnie skórę ze strajkujących raz po raz tkaczy i prządek, a więc rzeźników i piekarzy i — wyzyskiwanych (robotników z włókna, sezonowców z plantacji miejskich, bezrobotnych i częściowo zatrudnionych).

Taki podział trwał przez długie dziesięciolecia, przy czym faktem jest, że grupa pierwsza stale wzrastała ilościowo. Bo niechby tylko jakiś kotoniarz czy śrubownik z fabryki, nie dojadając całymi latami uskładał sobie kilkaset złotych na działkę i na pierwszy tysiąc cegieł — opinia publiczna natychmiast wykreślała go z grupy wyzyskiwanych umieszczając wśród „kapitalistów" i „gospodarzy" i innych ludzi, „którym się powodzi".

Kotoniarz, śrubownik, czy tramwajarz nierzadko na skutek wieloletniego niedojadania — zanim jeszcze domek był pod dachem — szedł „w piach" na Kurczaki czy na Manię, ale opinia publiczna korekty zaszeregowania na ogół nie przeprowadzała. Więc przed wojną każdy „posiadacz" często bywał wyklęty, A po wojnie — mimo, że ci wszyscy drobni posiadacze domków paruizbowych muszą normalnie pracować, aby z czegoś żyć, mimo, że w porównaniu ze swymi lokatorami, raz po raz odpływającymi do „bloków" nie mają żadnych szans na gaz i łazienkę w nowoczesnym domu — nawet po wojnie, która, wydawało się wiele nauczyła — ci właściciele pozostają często, choć — oczywiście — nie zawsze w obozie „wrogów ludu". Czy to w porządku?

W ŁODZI I GDZIE INDZIEJ

— Wie pan, to sprawa zdyscyplinowania — powiedzieli mi w pewnym kręgu ludzi rozsądnych — tylu zatargów o komorne, o głupie parę złotych na konieczny remont, tylu sporów i spraw sądowych między lokatorami a właścicielami małych domków co w Łodzi — nie ma ani w Warszawie, ani w Poznaniu, ani w Krakowie. Tam inny naród, zdyscyplinowany...

I może ci ludzie rozsądni mają rację. W Łodzi, jak wiemy, nie było nigdy normalnego okresu powstawania i rozwoju tzw. stanu średniego, nie było w zasadzie mieszczaństwa w rozumieniu pewnego rodzaju bufora łagodzącego niezwykłe kontrasty społeczne, w Łodzi mieliśmy niezwykle ostre sprzeczności — atakujący i atakowani.

Więc i po wojnie, gdy już znikli wyzyskiwacze, których imieniem nazwano kiedyś pochopnie każdego, komu udało się nie płacić komornego i każdego, kto nie pracował przy krośnie czy obręczniaku — gdy już znikli ci wielcy, zła opinia pozostała przy tych małych, przy tych wszystkich, którzy mają choć by własny, przeciekający ostatnio jakże często, dach nad głową. Aż śmieszne, przecież oni byli także robotnikami, są nimi często i dziś.

A przecież są to swojego rodzaju dobroczyńcy miasta. Dzięki nim miasto wydaje na budowę domów mieszkalnych dziesiątki milionów zł rocznie mniej.

KTO GDZIE BUDOWAŁ?

W Śródmieściu jest takich domów prywatnych około 5 tys., na Widzewie — 2 tys., na Bałutach — 6, na Polesiu — 5, a na Chojnach — najwięcej — ponad 6 i pół tysiąca. Dlaczego na Chojnach najwięcej, a najmniej na Widzewie? Na południu Łodzi było najwięcej miejsca pod budownictwo mieszkaniowe. Zimmerman, Koenich i inni właściciele gruntów dość wcześnie rozparcelowali swe ziemie, bliskość lasów tuszyńskich ułatwiała zaopatrzenie w budulec.

Dlatego Chojny są drewniane i dlatego w tej dzielnicy chyba najwcześniej powstaną... nowe tereny budowlane dla przyszłych kadencji rady narodowej. Wybierzcie się, czytelnicy, którejś niedzieli na spacer po Chojnach, zajrzyjcie na „Zatorze" i Rzgowską, przetnijcie siatkę przecznic po lewej i prawej stronie Tuszyńskiej a złapiecie się za głowę: tyle drewniaków dogorywa tu wprost na naszych oczach!

Na Widzewie prywatnych domków mało, gdyż Heinzel, Kunitzer czy wreszcie Kon, zbyt długo trzymali ziemię w garści i nawet lepiej zarabiający robotnicy widzewscy, majstrowie, tkacze, rzemieślnicy nie budowali na Widzewie, a szukali działek u Wojciechowskiego na Stokach, u Biedermana w Brusie, u Kluki na Rokiciu, czy wreszcie u Tanfaniego na Marysinie II...

„WSZYSTKO MA WYLICZONE..."

Tylko w sercu miasta budowali zamożni łodzianie, fabrykanci i więksi kupcy. Jeśliby więc nazywać domy własnością kapitalistyczną, odziedziczoną po przedwojennych wyzyskiwaczach — to tych domów musiałby szukać jedynie w śródmieściu Łodzi. Bo w Brusie, na Marysinie, Bałutach, Chojnach, Widzewie, na Stokach — wszędzie tu znajdzie jedynie niedojadanie, wyrzeczenia, wysiłek kilku pokoleń nieraz, znajdzie i gruźlicę, która wpędzała do grobu człowieka odkładającego na własny dach nad głową. Człowieka pracy, bardzo często robotnika.

A więc tylko w centrum miasta obraz jest nieco inny, budowa domów nie pociągnęła tu za sobą tylu ofiar co na przedmieściach, choć z drugiej strony nawet najlepiej prezentujące się domy w Łodzi przestały być przedmiotem prawdziwej zawiści. Właściciel domu „ma wszystko wyliczone": 60 proc. wpływów z komornego musi oddać na fundusz gospodarki mieszkaniowej, 25 proc. — na podatek od nieruchomości, 0,5 proc. — na opłaty stemplowe, a resztę, czyli 14 proc. — na zmniejszenie świadczeń lokatorskich.

Gdy to dodać, otrzymamy pełne... 100 proc.

— To z czego taki żyje?

— Jak to, z czego? Jakoś muszą sobie radzić, przeważnie jednak gdzieś pracują, godząc pracę zarobkową z dozorstwem u siebie.

— Czy więc w Łodzi można kupić dom?

— Ile pan zechce. Nawet w śródmieściu, ale kupców brak. Na Jaracza np. jest taki dom do sprzedania, a w nim chyba z dwieście izb i to wszystko za jedne 300 tysięcy zł.

Wynika z tego, że jedna izba w Łodzi kosztuje około.. półtora tysiąca zł — ale musisz kupić sobie cały dom na własność, a jednocześnie kosztuje co najmniej 60 tys. gdybyś np. chciał kupić tylko kilka izb w spółdzielni. Ot, paradoks naszych czasów. Ale paradoks chyba dla tego, że mała wartość prywatnych domów jest fikcją, wynikającą z tego, że ich

właściciele nie mogą swej własności uważać za źródło dochodu. W wypadku tzw. kamieniczników jest to zupełnie słuszne, a właściciele małych domków, nigdy wyzyskiwaczami nie byli.

Trzeba by chyba wreszcie zdjąć etykietę „wyzyskiwaczy" i „kapitalistów" ze wszystkich drobnych posiadaczy domków wybudowanych przed wojną — jeśli bowiem chodzi o budownictwo powojenne, problemu etykiety już w ogóle nie ma. Po wojnie „wybudowało się" w Łodzi tylko ...dwóch ludzi: jeden na Uniwersyteckiej, drugi na 22 Lipca.

„GDYBY NIE BYŁO DOCHODZENIA"...

Oczywiście nie mówimy o tych paru tysiącach domków jednorodzinnych powstałych w okresie powojennym, które ze względu na charakter i metraż są wyłączone spod kwaterunku. „Pobudowali się" lekarze, adwokaci i sklepikarze, rzemieślnicy, drobni wytwórcy (pasta do obuwia, błyskawiczne zamki, klipsy i linoleum) pobudowała się również w Łodzi... podłódzka wieś.

Tak — bo gdy syn przyciągnął do Łodzi i zaczął dobrze zarabiać w budownictwie, czy w „metalu", to i ojciec nieraz przywędrował ze wsi do Łodzi, sprzedając swoją „cząstkę" gruntu i kupując działkę budowlaną na nowo projektowanych ulicach łódzkich peryferii.

A ten ruch budowlany w Łodzi bynajmniej nie słabnie. Ludzie żyją oszczędnie i gdy już mają telewizor, oglądają się za własnym kątem na stare lata. Jest to naturalne prawo podnoszenia się standardu życiowego. Ale tempo przyrostu izb wznoszonych ze środków własnych ludności hamowane jest przez dwa główne czynniki. Jeden jest wytworem naszej sytuacji w dziedzinie produkcji materiałów budowlanych (przede wszystkim przeznaczone są one na budownictwo uspołecznione), drugi — wytworem strachu.

— Panie — mówił mi pewien znawca zagadnienia — gdyby nie było dochodzenia w sprawie źródeł posiadanych pieniędzy, kilka tysięcy nowych domów stanęłoby w Łodzi w ciągu roku!

I trzeba wierzyć „znawcy" i trzeba wyciągać wnioski ze sporadycznych ujawnień prokuratur w tym mieście, bo to są fakty. Ale wróćmy do naszych dobroczyńców.

Wielu z nich (będzie tego jakieś 30 proc.) cierpi niedostatek. Są to właściciele kilkuizbowych domków, których remonty co jakiś czas zjadają wszystko, co tylko można uciułać z 12—15 złotowych czynszów, niektórzy są już starzy i niezaradni — nie dostają renty, a innych źródeł dochodu brak. Ale z punktu widzenia interesów miasta, polityki rad narodowych, którym winno zależeć na utrzymaniu jak najdłużej stanu posiadania — najważniejsza jest sprawa zabezpieczenia wielu tysięcy domów przed przedwczesną „śmiercią techniczną".

Bo każdy walący się dom powiększa nacisk na radę w kierunku zwiększenia rozmiarów budownictwa, co nie jest ani tanie, ani łatwe. Nie ustaliliśmy jeszcze skutecznych metod postępowania w takich np. wypadkach...

gdy lokatorzy nie chcą godzić się na remont zabezpieczający, bo żyją tylko perspektywą „bloków" i zależy im na jak najszybszym rozsypaniu się tego, w czym dotąd mieszkają,

gdy lokatorzy leją wodę na ściany (np. na Przybyszewskiego, na Osobliwej) byle przyspieszyć rozbiórkę swego domu,

gdy przeprowadza się kapitalny remont w domach, które nie były zabezpieczane przez całe 17 lat,

gdy w dążeniu do zwiększenia kosztorysu remontowego (są przecież ludzie, którym na tym zależy) zrywa się całe podłogi w domach, a w gruncie rzeczy trzeba wymienić tylko parę metrów kwadratowych,

gdy w czasie remontów przeprowadzanych na zasadzie sztucznie wyśrubowanych kosztorysów stawia się nowe, gorsze piece na miejsce dobrych ale starych i gdy te dobre choć stare piece dla ukrycia przestępstwa wyrzuca się z trzeciego piętra na bruk podwórza,

gdy koszt elewacji w trakcie robót wzrasta z 95 tys. zł do 180 tys. (jak np. na Obrońców Stalingradu), gdy remont na Południowej zaczęto od 700 tys., a skończono na 1,5 mln zł,

gdy remontuje się domy dwupiętrowe, które następnie — po dwóch trzech latach — trzeba z kolei wyburzać (np. na Kilińskiego).

* * *

W tych wszystkich sprawach mimo wyraźnego postępu brak jeszcze dostatecznych sankcji, albo często brak kontroli społecznej, albo za dużo „kantów". Szczególnie jednak delikatna sprawa, to wyburzenia. Są one niezbędne, Łódź musi się rozbudowywać, rosną przecież roczniki, które wkrótce już będą dopominać się o nowe mieszkania (koniecznie w blokach!).

Kiedy mamy doprawdy tyle pilnych potrzeb, przedłużamy jak najbardziej życie małych i większych domków, zatroszczmy się zwłaszcza o te z przedmieść, bo szczególnie tam czuje się osamotniony w walce o dach nad głową jego właściciel. Lepi smołą, obija deskami, procesuje się z „elementami", płaci podatek od nieruchomości, nie marzy o „blokach". Ci ludzie zapewniają przecież jak dotąd, dach nad głową 340 tysiącom łodzian.

Warto więc ruszyć im z odsieczą.

FELIKS BĄBOL

RATUJCIE DZIECI!!!

Dokończenie ze str. 6

łódzkie), nie bez godnej pochwały trzeźwej ironii, jak na jej wiek, pisze: „Rolnikowi będzie bardzo dobrze, bo będą za niego pracowały maszyny. Ludzie po wodę nie będą chodzili z wiadrami i nie będą jej dźwigać, bo woda będzie do nich przychodziła. Rzekami będzie płynął miód. Domy będą z pierników i ciastek... Będzie wszędzie dużo sklepów i gospód. W gospodach ludzie będą jedli za darmo. Kamienie srebrne i złote będą leżały po polach... Płoty będą ogrodzone kiełbasami. Każdy będzie te kiełbasy jadł, a nigdy ich nie będzie ubywało. Najwięcej tymi kiełbasami będą się cieszyły dzieci, bo lubią bardzo kiełbasę".

Widocznie i autor tej książeczki bardzo lubi kiełbasę, skoro zwraca się w posłowiu do swego czytelnika, z zapewnieniem, że w roku 2010, a więc dosłownie za 48 lat, „wiele rzeczy, o których piszą tutaj twoi rówieśnicy, zostanie już zrealizowanych przez człowieka". Czy także ta o tych płotach z kiełbasy? Ale skoro roślin i zwierząt za sto lat ma nie być, tylko laboratoria i maszyny, to skąd kiełbasy? Czyżby syntetyczne? Kto tu właściwie w piętkę goni? Dzieci, czy ich pouczyciel?

Ludzie, ratujmy dzieci!

MARIAN PIECHAL

IN THE EVENING

Father and Mother went to the cinema in the evening. I stayed at home with my little brother. My friend who lives in the next house came to see us.

He said to my brother:

— Andy, come here and look into this mirror.

— Why?

— You will see a monkey.

— How did you discover it? — said Andy.

— No, I only live here with a relative of mine — a relative on my mother's side.

— And your parents? Are they in Poland?

— Yes. They live not far from Warsaw.

— Do you descend from a peasant family?

— No, my father was a worker.

— Have you any brothers and sisters?

— Oh, yes. Our family is quite a big one; there are six of us.

— Do you often go to Poland?

— Now and then.

— Well, and how do you like England?

— Well, I like it.

— I dare say you like Poland better, don't you?

— Yes, of course.

— Yes, that is quite natural. East or West home is best.

HELIAS UND BEATRIX
nach H. Heine

Es war im Jahre 711. Es lebte damals eine Prinzessin. Sie hiess Beatrix. Ihr Vater war tot. Sie musste allein im Land regieren.

Eines Tages sass die junge Prinzessin am Fenster in ihrem Schloss. Es war schönes Wetter. Die Luft war klar. Die Prinzessin schaute auf den Rhein.

Plötzlich sah die junge Prinzessin ein goldenes Boot, das

ein weisser Schwan zog. In diesem Boot sas ein junger Mann. Er sprang aus dem Boot und ging zur Prinzessin. Sie gefiel ihm sehr. Er gefiel auch ihr. Sie heirateten bald.

Eines Tages sagte er:

— Du weisst, dass ich Helias heisse, aber mehr darf ich nicht sagen. Du darfst mich auch niemals fragen, woher ich komme. Dann werden wir immer glücklich sein. Ich liebe dich sehr.

Die Prinzessin, die jetzt seine Frau war, sagte:

— Gut, ich werde dich niemals fragen, woher du kommst. Ich liebe dich auch sehr. Ich bin so glücklich mit dir.

laut und wollte den Sklaven töten. Aber plötzlich blieb er stehen. Die Menschen waren sehr erstaunt.

Der Löwe kam zu Androklus und leckte ihm die Hand. Die Freunde waren wieder zusammen.

Der Herr schenke dem Sklaven das Leben.

EIN GROSSES REZEPT

Ein Bauer fuhr einmal mit seinem Wagen und seinem Pferd in die Apotheke. Auf dem Wagen lag eine Tür.

Der Wagen hielt und der Bauer wollte die Tür in die Apotheke tragen. Der Apotheker machte grosse Augen und sagte:

— Was wollt Ihr da, guter Freund, mit Eurer Tür?

Der Bauer antwortete:.

— Meine Frau ist krank. Der Doktor kam und wollte ein Rezept schreiben. Ich hatte aber kein Papier zu Hause, keine Feder und keine Tinte. Ich hatte nur eine Kreide. Da schrieb der Herr Doktor das Rezept an die Stubentür.

Der Apotheker nahm das Rezept an.

TADEUSZ PAPIER

Niegdalena o rannej godzinie

W porządku. Niech pan się uspokoi, nic złego się nie stało. W każdym razie nie to, co pan ma na myśli. Pod Grandkę nie wróciłam. Mogłabym, ale po co? Spodziewał się pan tego? Zatem niech pan pisze: jestem zepsutą, zamężną, zarozumiałą, głupią. Także lekkomyślną. Przepraszam, daję mi pan lepszy bilet wizytowy? Więc jeszcze nie czas na pełnienie się proroctwa Cześki? Dziękuję.

Więc mówię: nie wróciłam pod Grandkę. Takie typy jak ja nie muszą się usprawiedliwiać. Skierowałam się na Chojny. Nie bałam się, zresztą czego? Niech mi pan powie, czego się miałam bać? Na Piotrkowskiej urzędują o tej godzinie różne typy, ale nie tutaj. Rzgowska była prawie pusta. Od Placu Niepodległości do przejazdu spotkałam zaledwie dwóch Łisaków i dwie podkasane babki, tak był sobą zajęci, że przeszłam obok nich i nie zwrócili na mnie żadnej uwagi, potem milicjanta, stał na przystanku tramwajowym, nie wiem, był na służbie, czy wracał do domu i czekał na tramwaj, i znowu minęłam jakąś parę. Poza tym ulica była pusta i cicha, bardzo lubię chodzić takimi ulicami, patrzeć w czarne okna, na całej ulicy paliło się światło tylko w jednym oknie, wszystkie domy były czarne, tylko jedno okno błyszczało, szłabym tak i szła.

Wreszcie dobiłam do domu. I niech pan sobie wyobraźi, kto czekał na mnie przy furtce? Zgadł pan. Kostek, ale ja się tego nie spodziewałam. Wie pan, po takiej drace. Był zalany, wiedziałam, że z nim jest niedobrze. „Więc dobrze — powiedziałam — chodź, poszukamy Narcyza". Wzięłam go pod rękę i poszliśmy. Trudno mi było go prowadzić, bo chwiał się na wszystkie strony, ale myślałam, że może spotkamy jakąś taksę i odwiozę go do domu. „Ales się urządził" — powiedziałam. Mówię panu, na ogół się przecież nie boję, przyzwyczaiłam się do takich drak, prawda, ale teraz dreszcze mnie przeszły, tak okropnie zaczął się śmiać. Po prostu śmiał się i wył. Nigdy w życiu takiego śmiechu nie słyszałam. Facet był zupełnie rozklejony.

Doszliśmy do Rzgowskiej, na ulicy było pusto, ale koło cmentarza spotkaliśmy taksówkę i szofer przystanął, zdziwiłam się, bo zazwyczaj taksy uciekają od pijanych. Ale ten szofer przystanął i udało mi się wepchnąć Kostka do środka. Może dlatego przystanął, że go nie zatrzymywałam i szliśmy w kierunku miasta, więc po drodze mu było. Podałam adres na Lipowej. Kostek już się uspokoił i ja byłam z tego zadowolona, po co wygłupiać się przed szoferem. Zresztą, powtarzam, szofer był na pozornie, doskonale zdawał sobie sprawę, że Kostek był „na chodzie", jednak ani słowem nie zatrącił o ten temat. Inny by zaraz urządził awanturę, albo w ogóle nie chciał z nami gadać. Zajechaliśmy przed kamienicę pl. odepchnął mnie i wyskoczył na ulicę. Więc wybiegłam za nim. „Kostek! — zawołałam — chodź, przenocujesz się u nas, nie możesz tak iść". A on znowu zbliżył swoją twarz jak poprzednio i powtarzał swoje, że będzie bił, diabli wiedzą komu tak grozili, mnie czy Narcyzowi, ale wiedziałam, że z nim jest niedobrze. „Więc dobrze — powiedziałam — chodź, poszukamy Narcyza". Wzięłam go pod rękę i poszliśmy. Trudno mi było go prowadzić, bo chwiał się na wszystkie strony, ale myślałam, że może spotkamy jakąś taksę i odwiozę go do domu. „Ales się urządził" — powiedziałam. Mówię panu, na ogół się przecież nie boję, przyzwyczaiłam się do takich drak, prawda, ale teraz dreszcze mnie przeszły, tak okropnie zaczął się śmiać. Po prostu śmiał się i wył. Nigdy w życiu takiego śmiechu nie słyszałam. Facet był zupełnie rozklejony.

Doszliśmy do Rzgowskiej, na ulicy było pusto, ale koło cmentarza spotkaliśmy taksówkę i szofer przystanął, zdziwiłam się, bo zazwyczaj taksy uciekają od pijanych. Ale ten szofer przystanął i udało mi się wepchnąć Kostka do środka. Może dlatego przystanął, że go nie zatrzymywałam i szliśmy w kierunku miasta, więc po drodze mu było. Podałam adres na Lipowej. Kostek już się uspokoił i ja byłam z tego zadowolona, po co wygłupiać się przed szoferem. Zresztą, powtarzam, szofer był na pozornie, doskonale zdawał sobie sprawę, że Kostek był „na chodzie", jednak ani słowem nie zatrącił o ten temat. Inny by zaraz urządził awanturę, albo w ogóle nie chciał z nami gadać. Zajechaliśmy przed kamienicę Globusa, poprosiłam szofera, wadził Kostka na górę. Całe szczęście, że Kostek miał w kieszeni klucz od bramy. W jaki sposób szofer wyciągnął Kostka na trzecie piętro samochodzie, zapytał się o numer mieszkania i zapto-

Dalszy ciąg na str. 10

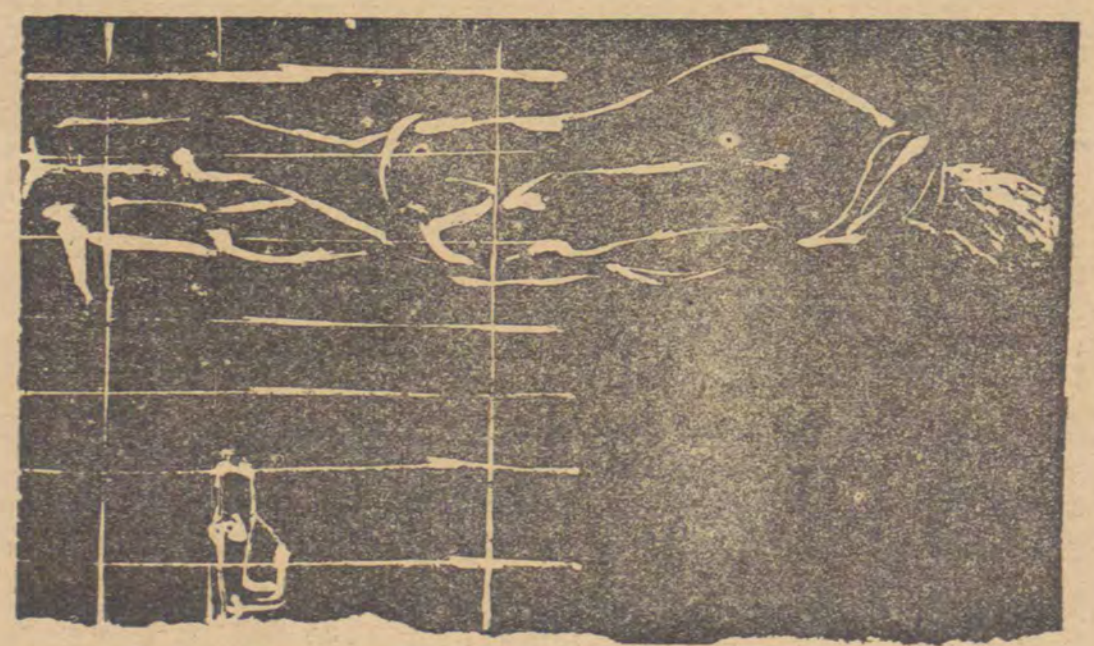

A NERVOUS MAN

A nervous man was on his way home from the railway station. The road was dark. He heard footsteps behind him. He increased his speed. The footsteps also quickened. The nervous man began to run down the street. The footsteps still followed him. At last the nervous man could not run any more. He stopped and asked the man who had followed him:

— What do you want? Why are you following me?

— I am going to Mr. Brown's, and the man at the station told me to follow you as you live next door. Excuse me, but shall we have much more to go before we get there?

EAST OR WEST HOME IS BEST

— Are you an Englishman?

— No, I am not. Can't you hear it from my accent?

— I did not notice it. What country do you come from?

— I am from Poland.

— What part of Poland do you come from?

— I was born in Warsaw.

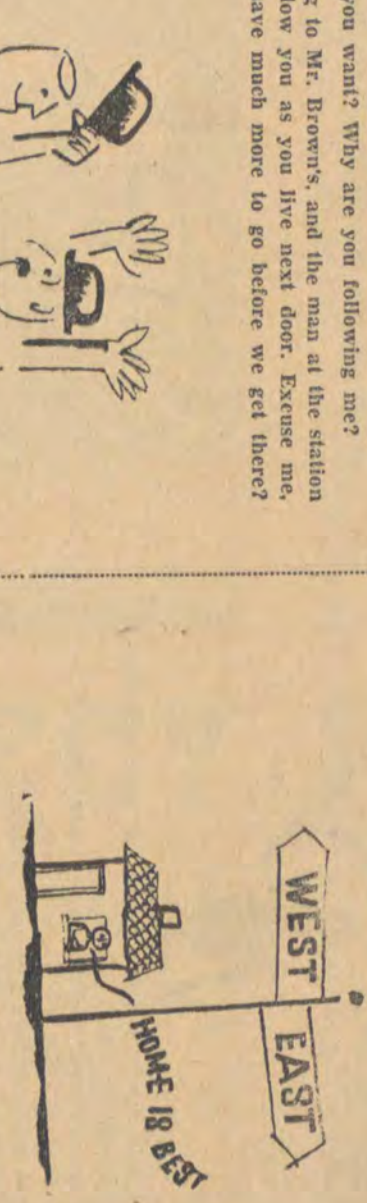

— How long have you been in England?

— About twenty years.

— And how old are you?

— I am hard on forty.

— No wonder that you speak English like an Englishman.

— Thank you.

— And do you know your mother tongue.

— Yes. I do. I can speak Polish with as much ease as I do English.

— You are here with your family, I suppose?

Sie lebten glücklich viele Jahre. Sie hatten drei Kinder. Eines Tages sagte die Prinzessin zu ihrem Mann:

— Mein Liebster, du musst doch unseren Kindern sagen, woher du kommst.

Der Mann sagte kein Wort. Er sprang in sein goldenes Boot und kam nie mehr zurück. Die Prinzessin war sehr traurig und starb nach einigen Wochen.

Richard Wagner erzählt diese Sage in seiner bekannten Oper „Lohengrin". In Heines Erzählung trägt Lohengrin den Namen Helias und Elsa den Namen Beatrix.

IM ALTEN ROM

Im alten Rom lebte einmal ein Sklave. Er hiess Androklus. Sein Leben war sehr schwer. Er war sehr schwach, immer hungrig und er konnte nicht mehr bei seinem Herrn arbeiten. Androklus floh in die Wüste.

Dort war es sehr heiss. Es gab dort kein Wasser, es wuchsen dort keine Bäume. Überall waren nur Steine. Androklus konnte nichts zum Essen finden. Er sagte:

— Nun muss ich sterben.

Er legte sich auf den Sand und schlief ein.

Plötzlich kam ein Löwe und brüllte laut. Androklus wachte auf. Er hatte grosse Angst vor dem Löwen. Aber der Löwe hob seine Tatze und stand still. Die Tatze war ganz blutig. Androklus verstand, dass er dem Löwen helfen muss. Er ging zum Löwen und nahm die blutige Tatze des Löwen in seine Hände. In der Tatze war ein Dorn. Androklus nahm den Dorn heraus und verband die Tatze mit einem Stück von seinem Hemd. Dann legte der Löwe seinen Kopf auf die Hand des Sklaven und schlief ein.

Androklus und der Löwe lebten von diesem Tag wie gute Freunde. Der Löwe brachte seinem Freund immer Fleisch zum Essen.

Aber nach einem Jahr kamen die Soldaten und brachten den Sklaven nach Rom zurück. Er sollte von wilden Tieren getötet werden.

Es kamen viele Menschen. Androklus stand allein in der Arena. Dann kam langsam ein grosser Löwe. Er brüllte

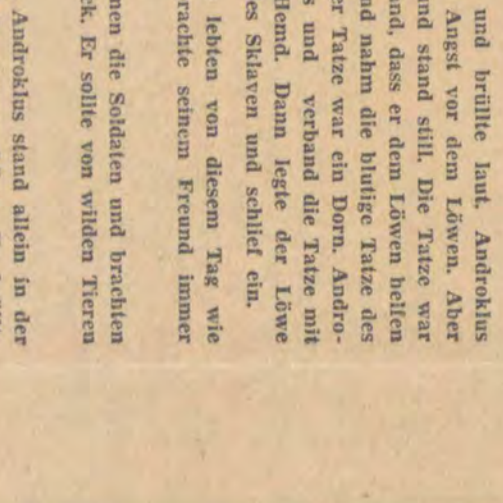

Dalszy ciąg ze str. 9

tro, nie wiem. Dotąd nie mogę wyjść z podziwu, na jakiego człowieka trafiłam. Mówię panu, ujął mnie swoim zachowaniem, wszystko bym zrobiła dla niego. Kiedy wreszcie wrócił, zapytałam go, czy miał kłopot z Kostkiem. „Fajno jest — powiedział. — Pewnie upił się po raz pierwszy w życiu?". „Poznał pan? Po czym?" — zapytałam. „Ma się to oko — odpowiedział. — No co, nie po raz pierwszy?" „Nie wiem — rzekłam. — Może pierwszy raz, a może już mu się kiedy zdarzyło". „E, niech pani się nie krępuje, za stary jestem na to" — powiedział. „Co pan znowu! — zaprzeczyłam. — Nie jest pan stary". „Nie bujaj, dziecino — powiedział — jestem za stary, aby mnie bujać. Pięćdziesiątka na karku". „Słowo daję, nie wygląda pan na pięćdziesiąt" — odparłam. Rzeczywiście nigdy w życiu nie dałabym mu tyle, wyglądał znacznie młodziej, może dlatego, że był szczupły, kościsty i włosy miał ciemne. Bardzo mi się spodobał, zdawało mi się, że znam go od dawna. „A pani co teraz zrobi?" — zapytał. „Gdyby pan zechciał mnie podrzucić do domu?". „Dokąd?". „Na Chojny" — odparłam. Gwizdnął i przestraszyłam się, że nie zechce nawet gadać ze mną. „Drogo wyniesie" — rzekł. „Zapłacę". „Dobra jest" — odparł i zapuścił motor. Spojrzałam jeszcze na trzecie piętro i zobaczyłam, że u Globusa się świeciło.

Więc zawróciliśmy, ale teraz usiadłam na przednim siedzeniu, przy szoferze, i jak Boga kocham, sama nie wiem dlaczego, co mnie skusiło, zaczęłam mu opowiadać o sobie, cały życiorys mu opowiedziałam. O tym, jak miałam pierwszy romans, i o Borucie, o kradzieżach, o Tacie, o Szczurze, i że niedawno wyszłam z więzienia. Słowem, wszystko, a nawet więcej niż trzeba, gdyż koloryzowałam, poniosło mnie. Musiałam koloryzować, gdyż człowiek by nie uwierzył, gdybym powiedziała, że dzieciństwo miałam ciężkie, a przecież, w gruncie rzeczy, nie żyłam w takiej nędzy jak dla przykładu Klementyna, w nędznej ruderze z sześciorgiem rodzeństwa, „w sam raz dość, by zdychać z głodu". „Ja z głodu nie zdychałam, ale było mi ciężko, pan wie o tym, więc mówiłam, że ojciec był robotnikiem, była bieda, mieliśmy jednoizbowe mieszkanie i spałam razem z bratem na jednym łóżku w kącie za szafą. Żyliśmy jak zwierzęta, mówiłam, nie dlatego, żeby wycisnąć łzy i obudzić w moim słuchaczu współczucie, ale żeby powiedzieć, jak mi było naprawdę ciężko.

Więc nagadałam mu o sobie i o Marioli również, to jest moja najlepsza przyjaciółka, powiedziałam. „Dobrze to pani zagrała, niech panią nie znam" — powiedział szofer. „Ależ to wszystko prawda! — oburzyłam się. — Dlaczego pan wątpi?" „Za stary jestem na to, aby się dać nabrać" — zagadał po swojemu. „Może się pan chce przekonać, co?" — zawołałam. „Nie trzeba, wierzę" — powiedział. „Więc dlaczego pan tak mówi?" — zapytałam. „Wierzę — odparł. — Taszczyłem przecież po schodach tego Kostka, rozumiem teraz, dlaczego się uchlał". „A więc mówiłam prawdę". „Ma się to oko. Niejednego i niejedną woziłem już w tej dryndzie". Przyhamował wóz i zaświecił. Obejrzał mnie dokładnie, jakbym stała w oknie wystawowym. „Nie powiem — rzekł — nic pani nie brakuje. Oczy to pani ma, nie powiem. Wszystko się zgadza". Słowo daję, podobał mi się coraz więcej, to znaczy, niech mi pan wierzy, budził we mnie zaufanie, wszystko mogłabym mu zawierzyć, nie wiem, skąd się to brało. „A ta pani wesoła publika, ten Narcyz i Ryży, nie będą rozrabiali?" — zapytał. „Nie wiem — powiedziałam. — Mało mnie to obchodzi. Niech pan jedzie — powiedziałam — licznik za dużo wybije". „Dobra jest, odliczę" — odparł i ruszył. „A ta ciocia nie będzie się awanturować? Miałaby rację" — dodał po chwili. „Na pewno będzie draka — odparłam. — Ale co mam robić? Do siebie mnie pan nie zabierze?". „Rany Boga! — zawołał. — Chętnie. Ma pani forsę na trzeci kurs?". „Chyba nie — odparłam. — Gonię resztkami". „Więc trudno, jedziemy do cioci" — powiedział. Skręciliśmy już ze Rzgowskiej, samochód teraz podskakiwał na nierównej drodze i powiedziałam do niego, żeby przyciszył motor i przygasił światło, bo wszystkich dookoła pobudzimy. „Wie pani co? — powiedział. — Dam pani swój adres. W razie czego powoła się pani na mnie". „Niech będzie — odparłam. Może się przydać". Więc jeszcze raz przyhamował, a ja zapisałam sobie nazwisko i adres tego szofera. Mam jeszcze tę kartkę, zachowałam ją sobie. Ten szofer mieszkał na Wólczańskiej.

Zajechaliśmy, zapłaciłam za dwa kursy, prawie mi nic nie zostało, wypłukałam się, ale i tak długo obracałam pieniędzmi Tośka, pan sobie przypomina tę stuzłotówkę, którą świsnęłam Tośkowi w Grandce. Pożegnałam się z szoferem, uścisnęliśmy sobie ręce, stałam jeszcze chwilę, zanim dwa czerwone światełka nie zniknęły za zakrętem. Już mi było wszystko jedno, co powie ciotka. Włożyłam klucz do zamka, zaledwie raz przekręciłam, a ciotka otwarła drzwi. „Święty Boże! — powiedziała zduszonym szeptem — Co ty dziewczyno wyprawiasz!" Nie wiedziałam co mówić, bo jakże w jednym zdaniu odpowiedzieć na to pytanie, ale i tak by się to na nic nie zdało, bo ciotka była ogromnie zdenerwowana, trzęsła się wprost i szarpała mnie za ramiona. Nie biła mnie, tego nie mogę powiedzieć, ale szarpała i popychała. „Boże święty! — mówiła. — Kto cię odwiózł tym samochodem? Gdzie ty byłaś? Człowiek umiera z niepokoju, a ta głupia włóczy się po nocy. Rany boskie, dziewucho, opamiętaj się". Ciotka wciąż stała na progu i nie pozwalała mi wejść do środka. „Gdzie byłaś? Z kim?" — zapytała oddychając głęboko. „Może wejdziemy do mieszkania?" — powiedziałam, ale ciotka wciąż zagradzała mi drogę. „Mów wreszcie, gdzie byłaś!" „Ciocia przecież wie. Z Iśką". „Rany boskie — zawołała ciotka. — Iśka była u mnie i pytała się o ciebie. Wieczorem była". Ta wiadomość zaskoczyła mnie. „Co ciocia mówi! Iśka tu była? Mówiła co? Rozmawiała z ciocią?". Ale ciotka nie odpowiedziała na moje pytania. „Więc z kim się włóczyłaś!" — krzyknęła. Więc, mówię panu, dość już miałam tych badań, zresztą zmęczona byłam i chyba dość przeszłam w ciągu tych ostatnich godzin, więc wyrwałam się z rąk ciotki i krzyknęłam ze złością: „Z nikim się nie włóczyłam. Może ciocia wierzyć, a jak ciocia ma mnie dość, to mówię do widzenia". I rzeczywiście odwróciłam się, naprawdę bym poszła, ale ciotka chwyciła mnie za rękaw. „Stój, ty wariatko" — zawołała i wepchnęła mnie do mieszkania.

Weszłyśmy z ciotką do kuchni i dopiero wtedy poczułam, jak bardzo byłam zmęczona. Ciotka podała herbatę, chleb, nie chciałam pić ani jeść, ale ciotka nie ustąpiła. Więc jadłam, a ciotka usiadła naprzeciwko i nic nie mówiła, tylko spoglądała na mnie, nie powiem, żebym się czuła dobrze. Wreszcie przemówiła, rany, jak jej się głos zmienił, jakby dostała chrypy. Powiedziała: „Jutro pogadamy. A tymczasem się rozbieraj i spać. Zachowuj się cicho. Mariola tam śpi". O mało nie wypuściłam z rąk szklanki. „Mariola jest? Przyszła?". „Przyszła" — powiedziała ciotka. Otworzyłam drzwi do pokoju, na stoliku paliła się nocna lampka, rzeczywiście, na naszym tapczanie spała Mariola. O mało mi serce nie wyskoczyło. Pochyliłam się nad nią, Boże kochany, jakaż była wymizerowana, co się z niej zrobiło!

D. c. n.

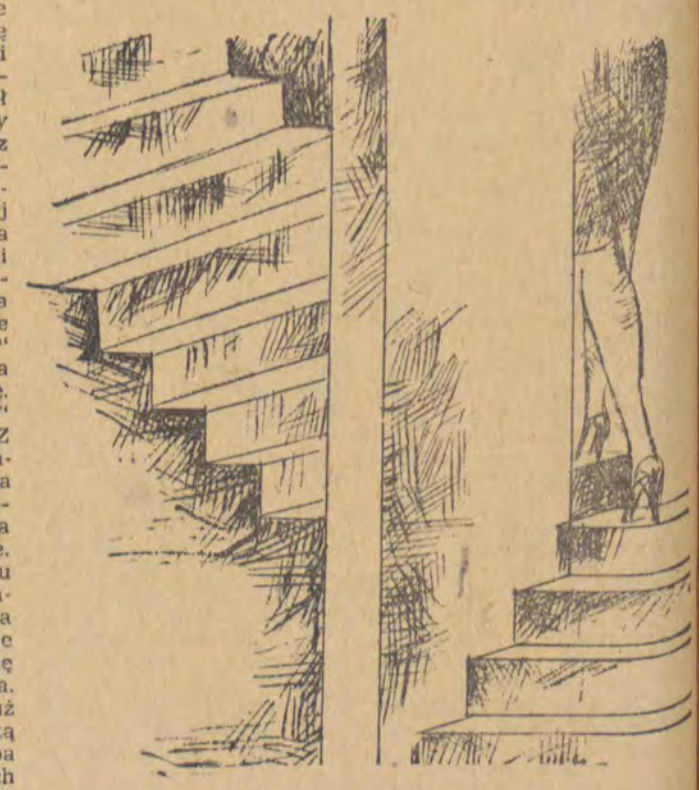

CZY PANI *lubi* FRANCE'A?

Wprawdzie możemy hipotetycznie przyjąć, że sezon ogórkowy należy do przeszłości, to jednak musimy również zrozumieć, jak bardzo trudno jest telewizji tak od razu, po dwóch miesiącach błogiego wypoczynku, przestawić swój program o całe sto osiemdziesiąt stopni i zaprzestać wygodnej metody załatwiania telewidza samym tylko, imponującym czy obiecującym wiele tytułem programu.

Kapitalnym przykładem podobnych trudności był poniedziałkowy spektakl Teatru Telewizji Warszawskiej: „Komedia o człowieku, który poślubił niemowę", Anatola France'a. Już sam wybór obliczony został na „ogórkowego" odbiorcę. France, wiadomo, klasyk, uznana pozycja w światowej literaturze, ale bynajmniej nie z okazji tej właśnie „Komedii o człowieku", naiwnej ramotki, która nie jest najlepsza próbka talentu twórcy Sylwestra Bonnard, i nawet krytycy literatury niechętnie ją wspominają.

Jakie więc bogi natchnęły twórcę telewizyjnej inscenizacji, reżyser Lucynę Tychowa do takiego wyboru, trudno pojąć. Skoro jednak tak się stać musiało — ostatecznie rzecz wesoła i króciutka — to należało już włożyć maksimum wysiłku w opracowanie aktorskie i reżyserskie spektaklu.

A tu rozczarowanie drugie i najpoważniejsze. Obsada, owszem, była. Tylko, że z tym „telewizyjnym" aktorstwem wciąż nie można się bez oporów pogodzić. Aktor filmowy i teatralny, skąd inąd serio traktujący swoje rzemiosło, w telewizji ciągle pozwala sobie na wyzwalanie, wygodnego — trzeba przyznać — kompleksu „chałturszczyka". Nie pierwszy to przecież raz, odnosi się takie wrażenie, oglądając raz po raz sypiących się na tekście aktorów. I to aktorów nie byle jakich. W poniedziałkowej „Komedii" rekordy pobijali Fijewski i Szletyński. Dali oni wspaniały przykład źle pojętej konwencji „Commedia dell árte" w odniesieniu do nowoczesnego sposobu interpretacji aktorskiej. (A może, faktycznie, aktorstwo „telewizyjne" jest ubogim krewnym prawdziwego aktorstwa, i inaczej nie daje się traktować jak tylko chałturę?).

Przedstawienie Lucyny Tychowej, pozbawione tempa, niezbędnego przecież dla każdej komedii — pozbawione jednolitego dystansu aktorów do postaci przez nich kreowanych (czy tak ma wyglądać „commedia del árte"?) — pozostało do końca nudne, mdławe, i wcale nie do śmiechu. Nic z francuskiej finezji, dowcipu, i spirituelle, których to cechy posiada mimo wszystko „Komedia o człowieku, który poślubił niemowę". W dodatku, zupełnie nie wiadomo było, jaką konwencję przyjmuje reżyser — gdyż w akcie pierwszym wszystko działo się niezwykle serio, natomiast akt drugi rozegrany został jako farsa, co zresztą wyszło mu zdecydowanie na zdrowie. Przedstawieniu niewiele pomogła udana rola Katarzyny Łaniewskiej (niemowa, która przemówiła), ani też nie uratował sytuacji równie dobry Jan Kobuszewski jako Doktor.

HALINA KIJOWSKA

Bożena Grabowska, popularna już piosenkarka, w ostatnim magazynie rozrywkowym: „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna"

ZE ŚWIATA

Telewizja w Kanadzie należy do najbardziej komercyjnych na świecie. Program dzienny wypełnia tam od dwunastu do szesnastu godzin. Kanada należy do krajów, gdzie olbrzymi procent audycji telewizyjnych stanowi sport. Transmitowane mecze zawodowców ściągają przed telewizory tysiące Kanadyjczyków. Największą popularnością cieszą się spotkania hokeistów, bokserów i walki catch as „catchcan". Opłaty za transmisje są niezwykle wygórowane, ale telewizja i tak na nich zarabia. Z innych programów, komercyjne są programy rozrywkowe typu variete. Nie są to również programy złe, na tegorocznym festiwalu w Montreux, Telewizja Kanadyjska zaprezentowała doskonały program jazzowy, który uzyskał wyróżnienie. Prezes Sokorski obiecał go naszym telewidzom.

Do najciekawszych „show" w telewizji amerykańskiej należy „Judy Garland Show". Program ten prowadzony jest przez jedną z najgłośniejszych aktorek i tancerek amerykańskich: Judy Garland. Szczyt kariery ma ona już dawno za sobą. Hollywood, który dał jej sławę, stał się przyczyną jej klęski życiowej. Po niezwykle wyczerpującej pracy w filmie, Judy Garland jest dzisiaj cieniem doskonałej ongi tancerki. Jest narkomanką i nie stroni od alkoholu. Mimo to, program przez nią przygotowany na tegoroczny festiwal w Montreux otrzymał wyróżnienie za elementy emocjonalne, pozwalające nawiązać bezpośredni kontakt artystów z widzami. Krytycy amerykańscy obawiają się poważnie, że sukcesy Judy Garland w telewizji skończą się już w niedługim czasie, jeżeli nie zmieni ona swego trybu życia.

Twórcą telewizji angielskiej jest John Baird. Badania w tej dziedzinie rozpoczął on w roku 1924. Skonstruował on „odbiornik telewizyjny" z dużej skrzyni drewnianej, pudła po kapeluszach, kilku akumulatorów, transformatorów, lamp radiowych i tysięcy innych drobiazgów. Kiedy zaczął na swoim „aparacie" osiągać widoczność przedmiotów, w jego „laboratorium" nastąpił wybuch, i sąsiedzi eksmitowali młodego zapaleńca, a prasa nie szczędziła mu złośliwych przycinków. Ale już w rok później Baird przekazuje obraz poruszającej się lalki, zaś pierwszym żywym aktorem telewizyjnym, którego oglądali zaproszeni na pokaz londyńczycy, był goniec, który za swój występ otrzymał od Bairda pierwsze wynagrodzenie telewizyjne: pół korony.

Na zdjęciu: popularna aktorka telewizji włoskiej (występująca również w filmie, np. „Wakacje w Grecji"), absolwentka słynnej szkoły filmowej Centro Sperimentale di Cinematografia — Wandisa Guida.

TELE wizja

WSZECHNICA TELEWIZYJNA

Wszechnica Telewizyjna, chociaż nie zalicza się do najstarszych audycji telewizji polskiej — działa dokładnie od lat dwóch; pierwszy jej program został nadany 14 września 1960 roku — zyskała sobie trwałe prawo obywatelskie w naszej TV oraz tysiące gorących zwolenników. Jej telewizyjnymi prekursorkami były dwa magazyny popularnonaukowe (które przetrwały zresztą do chwili obecnej i nic nie wskazuje ich bliskiego końca, wciąż są przydatne i potrzebne), emitowane już od lat sześciu: „Eureka" i „Jak patrzeć na dzieło sztuki".

W ciągu dwóch lat swego istnienia Wszechnica Telewizyjna, początkowo skromna, opierająca się na pojedynczych cyklach, przeszła niezwykle gwałtowną ewolucję. „Chwyciła" — można powiedzieć. Przeobraziła się we wszechstronnie zainteresowaną, wielokierunkową problematycznie, popularną encyklopedię, informującą o aktualnych osiągnięciach nauki, sztuki i kultury, szczególny akcent kładąc na nauki techniczne.

Forma telewizyjnej Wszechnicy popularnonaukowej nie jest niczym nowym. Wszystkie dosłownie telewizje stosują ją powszechnie. Kamera telewizyjna potrafi nieomal wszystko, czyniąc przez to często suchy wykład, pasjonującym i komunikatywnym obrazem. Nieograniczone możliwości z jednej strony, a z drugiej — milionowa widownia czynią z telewizyjnej wszechnicy nowoczesny środek w upowszechnianiu wiedzy i nauki. Jako ciekawostkę można podać w tym miejscu fakt, że niektóre kraje Afryki, zaraz po odzyskaniu niepodległości, wprowadziły telewizyjny system zwalczania analfabetyzmu.

Polska Wszechnica Telewizyjna w roku ubiegłym prowadziła wykłady, zgrupowane w kilkunastu różnorodnych tematycznie cyklach. Zagadnienia filmu i teatru omawiały programy „Jak patrzeć na film", oraz „Jak patrzeć na teatr". „Antykwariat wszechnicy" podawał wybrane zagadnienia z dziedziny historii literatury, kultury, obyczajowości. W cyklu „W pracowniach polskich uczonych". Wszechnica Telewizyjna zapoznawała widzów z osiągnięciami polskiej myśli, przedstawiając sylwetki najwybitniejszych polskich uczonych, wynalazców i ich osiągnięcia. Inny cykl — „Świat się kurczy" omawiał nowoczesne środki komunikacji i łączności.

Nie brakowało również audycji o charakterze kursów pomocniczych. Telewizja prowadziła przez pewien okres czasu kurs języka angielskiego. Trudno doprawdy zrozumieć dlaczego został on zarzucony, i dlaczego obejmował tylko jeden język obcy? Wydaje się, że był to bardzo cenny pomysł, który należało do końca wyzyskać. Radiowe kursy języków obcych, prowadzone są już od lat, i cieszą się wielką popularnością wśród słuchaczy. Są też dużą pomocą dla młodzieży i dla samouków. Czy nic to telewizji nie mówi? — a przecież o wiele większe możliwości posiada właśnie ona. Należałoby poważnie zastanowić się nad zorganizowaniem systematycznej akcji nauczania języków obcych w programie telewizyjnym.

Z wielu pozycji Wszechnicy Telewizyjnej nie sposób ominąć takich jak popularne wśród dorosłych, młodzieży (i dzieci też) „Obrazki z ZOO", lub „Pana hobby?".

Podobno poszczególne pozycje Wszechnicy są prowadzone w różnych ośrodkach telewizyjnych kraju. Rzeczywiście, prawda. Należy tylko zaznaczyć — na ogół z wyjątkiem Łódzkiego Ośrodka. A może w nowych planach programowych uda się i Łodzi pokazać to lub owo!

Z planów programowych na rok 1963 Wszechnicy Telewizyjnej, ciekawa innowacją będzie wprowadzenie cyklu „Jak słuchać muzyki". Dosyć długo czekaliśmy na podobny pomysł. Społeczeństwo polskie określane jest jako społeczeństwo „głuchych". Wciąż jeszcze muzyka symfoniczna jest dla większości koszmarnym straszakiem, który nie wiadomo komu i po co służy. Zobaczymy, co potrafi Wszechnica Telewizyjna w tej trudnej dziedzinie.

KOWALSKI

PALEC BOŻY?

Dalszy ciąg ze str. 1

my wejść w cywilizację maszynową bez guzów. Chęć ładna, tylko niesposobna.

Liczba 169.612 ofiar wypadków przy pracy u nas w roku 1960 szokuje, epatuje, wstrząsa. Ale kto wie, lub kto pamięta, że w takiej Anglii, gdzie z tradycjami rzecz ma się wprost przeciwnie niż u nas, w roku 1925 oficjalne statystyki notowały 944 wypadki śmiertelne w fabrykach, 1136 w kopalniach, zaś nie — śmiertelnych w fabrykach — 158.479 i 179.602 w kopalniach. Myślę, że owa konfrontacja danych z różnych ustrojów i czasów o tyle jest na miejscu, że to ostatecznie z angielskiego wywodzą się hasła „Safety first" (bezpieczeństwo pierwsze) i „Safety pays" (bezpieczeństwo się opłaca).

Prawda to niewątpliwa, acz paradoksalna, że postęp techniczny niesie ze sobą wzrost ilości nieszczęśliwych wypadków. Ostatecznie w epoce dyliżansu ludzie mniej się na drogach zabijali i kaleczyli niż obecnie w epoce samolotów odrzutowych. To samo dotyczy i narzędzi pracy. Dlatego wobec istotnie nabrzmiałego problemu człowieczych kosztów cywilizacji maszynowej pragnę zaproponować mniej metafizyczny, a bardziej historyczno-materialistyczny punkt widzenia.

Ten ostatni, jak wiadomo, kłóci się zarówno z ekonomizmem, jak i fatalizmem. Ekonomizm w podejściu do problemu wypadków polega nie tylko na przeliczaniu ich na pieniądze i roboczodni (owe 12 miliardów!), ale i na przeświadczeniu, że samymi nakładami inwestycyjnymi na bhp zapewnimy jakąś absolutną ochronę ludzi. Otóż nie zapewnimy, jako że autorstwo załamań w układzie człowiek — maszyna jest głównie ludzkiego pochodzenia. Są to również prawdy znane, ogłoszone i dowiedzione przez światowych uczonych, socjologów, psychologów i fizjologów pracy. Wynika z tego, że bardziej musimy w praktyce ochronnej odwoływać się do takich pojęć jak zmęczenie, roztargnienie, nadmierna pobudliwość, załamanie koordynacji psychomotorycznej, momenty bezładu w mechanizmie reakcji obronnych, „sekunda przerażenia" i selekcja psychotechniczna przy kierowaniu do zawodu. Innymi słowy: zielone światło i preferencja dla nauk traktujących o pracy, a raczej o człowieku w toku pracy, dla specjalistów od diagnostyki, terapii i profilaktyki w tej dziedzinie.

Antyfatalizm w podejściu do problemu wypadków polega na tym, że traktując je jako immanentne zło postępu technicznego uważamy zarazem, że można i udaje się je minimalizować. Temu służy zarówno cała materialna baza środków ochronnych, jak i cała nadbudowa prawna.

Nasze ustawodawstwo ochrony pracy należy do najbardziej postępowych w świecie? Kto zna uprawnienia związków zawodowych, a nadto ministerialne instrukcje w tej mierze, ten niechybnie dojdzie do takiego przekonania. Bieda w tym, że ani te uprawnienia ani instrukcje nie są w pełni wykorzystywane i stosowane, że istnieje i tu pewien rozdźwięk między życiem, a zasadami.

Choćby taki drobiazg. Przepisy prawne przewidują, że każdy cięższy wypadek musi być komisyjnie zbadany, a cała wiedza z jego analizy wynikająca powinna być przekazana robotnikom, stać się ich własnością i doświadczeniem. Tymczasem w wielu zakładach komisje powypadkowe w ogóle nie funkcjonują, a faktu zebrania jakiejś załogi lub jej części w związku z wypadkiem nikt nigdzie jeszcze nie zanotował. W tych warunkach mocno się trzyma przeświadczenie o palcu bożym.

Ze wszystkich sztuk sztuka kierowania ludźmi, a zwłaszcza ludźmi pracującymi przy maszynach jest najtrudniejsza i najbardziej zaniedbana. Póki jej nie ruszymy, póki kierownicy naszego przemysłu nie zaczną serio jej się uczyć, póty będziemy ciężko w każdym sensie płacić za cywilizację techniczną i straszyć nas będzie apokaliptyczna wizja społeczeństwa inwalidów.

SCEPTYK

12 miliardów złotych: to straty spowodowane wypadkami przy pracy. 169.612 ofiar: To ludzki bilans strat naszej gospodarki!

Cena życia

Na zlecenie Generalnej Prokuratury przeprowadzono w czerwcu br. badania sposobu przestrzegania przepisów dotyczących bezpieczeństwa i higieny pracy w zakładach przemysłu ciężkiego i budownictwa. W badaniach, które objęły cały kraj, mają swój udział Prokuratury Wojewódzkie dla m. Łodzi i Województwa Łódzkiego. Noty i informacje, które Czytelnicy znajdą poniżej, oparte są na aktach, jakie w związku z powyższymi badaniami zostały sporządzone w Prokuraturze dla m. Łodzi. Podkreślając wagę tej wielkiej pracy, świadczącej o tym, jak bardzo sprawy ochrony pracy leżą na sercu najwyższym organom państwowym, a także o tym, że jesteśmy w przede dniu nowych decyzji w tej mierze, redakcja pragnie serdecznie podziękować za udostępnienie materiałów.

W 10 łódzkich zakładach metalowych i 5 przedsiębiorstwach budowlanych zdarzyło się w okresie od 1 lipca 1961 roku do 30 kwietnia 1962 r. 507 wypadków przy pracy. Poszkodowani stanowią 2,5 proc. ogółu zatrudnionych. W tej liczbie ciężkich wypadków zanotowano 113 i 1 śmiertelny.

★

Prawo przewiduje, że o każdym ciężkim wypadku ma być powiadomiony prokurator. Intencją odpowiedniego przepisu jest, aby właśnie prokurator ustalił, czy wypadek nie wynikł z przestępstwa. Na 113 wypadków ciężkich prokurator był powiadomiony o sześciu.

★

Zakładowa służba bhp i administracja na ogół mylnie interpretuja pojęcie „wypadek ciężki", zaliczając do nich tylko śmiertelne i powodujące poważne inwalidztwo. Odium z tego względu nie może jednak spadać na służbę bhp, ponieważ obowiązujące instrukcje takiego rozumienia ją nauczyły. W związku z tym Prokuratura poczyniła odpowiednie tzw. wystąpienia.

★

W okresie od 1 lipca 1961 r. do 30 kwietnia 1962 r. prowadzono w Łodzi 67 spraw karnych o wypadki przy pracy. Z tego 50 spraw umorzono, w 9 sprawach wytoczono akty oskarżenia, a reszta była „w toku".

★

Urzędowa osobą do spraw bhp z ramienia związków zawodowych jest techniczny inspektor pracy. Władny wydawać wiążące pracodawców decyzje może zarządzać nawet unieruchomianie niebezpiecznych stanowisk pracy, a za niewykonywanie swoich nakazów wymierzać grzywny. Nie bez kozery mówimy o technicznym inspektorze pracy w liczbie pojedynczej. Na 96 przedsiębiorstw metalowych i budowlanych w okręgu łódzkim jest aż 2 technicznych inspektorów pracy. Jeśli zważyć, że jeden z nich, mianowicie delegowany do branży budowlanej ma pod opieką 1374 budowy, okaże się, jak odwrotnie proporcjonalne są jego obowiązki do możliwości. Trzeba jeszcze dodać, że o ile techniczny inspektor pracy ma działać skutecznie, to powinien wizytować dany zakład w ciągu odpowiedniego okresu czasu dwukrotnie, raz żeby wydać nakazy, drugi raz żeby ich wykonanie sprawdzić.

Ogólnie sytuacja wygląda tak, że 26 technicznych inspektorów pracy na Łódź i województwo dwoi się i troi, a mimo to wielu zakładów nie odwiedza. W niektórych branżach, np. przemysłu spożywczego, techniczny inspektor pracy wizytuje niektóre jednostki raz na dwa lata albo i rzadziej.

Ilość powypadkowych doniesień do prokuratur ze strony technicznych inspektorów pracy, do których są oni zobligowani, przedstawia się mizernie. Tym bardziej mizernie, że obowiązujące instrukcje wymagają od nich oceny wypadku z punktu widzenia prawa karnego. Ocena taka, jak wiadomo nastręcza częstokroć trudności samemu prokuratorowi, a co dopiero mówić o technicznym inspektorze pracy. W związku z tym Prokuratura dla m. Łodzi postuluje opracowanie bardziej rzeczowych instrukcji, w myśl których samo podejrzenie o przestępstwo może być podstawą powypadkowego doniesienia do prokuratora.

★

Zdarzają się fakty ukrywania ciężkich wypadków.

W Łódzkim Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjnych sprawdzono druki zwolnień lekarskich L-4. Okazało się, że lekarz zwalniał ludzi z pracy, częstokroć na całe tygodnie, bo ulegli oni wypadkom (świadczą o tym symbole jednostki chorobowej na zwolnieniu), a nie znalazło to żadnego odbicia w dokumentacji działu bhp. Onże tłumaczy się tym że, kierownicy poszczególnych budów nie zgłaszają wypadków, a poszkodowani pretensji pod adresem przedsiębiorstwa. Podobno bywa i tak, że człowiek odnosi obrażenia ciała poza zakładem a przychodzi i wmawia lekarzowi wypadek przy pracy.

★

Istnieją bardzo szczegółowe ministerialne instrukcje określające sposób postępowania przy dochodzeniach powypadkowych, jakie winna przeprowadzać administracja. Instrukcja resortu budownictwa zawiera m.in. bardzo sensowny przepis, że w razie wypadku ciężkiego i śmiertelnego sam dyrektor zjednoczenia powołuje imiennie przewodniczącego i skład komisji powypadkowej, z tym, że przewodniczący nie może być pracownikiem przedsiębiorstwa, w którym wypadek się zdarza. Przepis ten nie zawsze jest respektowany. Na przykład w Łódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego nr 3 działająca w badanym okresie komisja składała się wyłącznie z pracowników „własnych". „Działająca" to zresztą za dużo powiedziane bo tutaj nie przeprowadzono szczegółowej analizy wypadków, nie podawano dokładnych okoliczności i nie wyciągano pełnych wniosków zapobiegawczych.

★

Na 37 wypadków, jakie zdarzyły się w Zakładach Aparatury Elektrycznej „Elester", zaledwie w trzech przeprowadzono dochodzenia powypadkowe. Protokóły z tych dochodzeń są jednak skromne, lapidarnie stwierdzają fakty, nie podaje się ich analizie, a wnioski brzmią żenująco ogólnikowo: „przypomnieć o bezpiecznym prowadzeniu pracy". Nic dziwnego, że w zakładach tych 70 proc. wypadków zdarzyło się w podobnych okolicznościach i z tej samej przyczyny.

★

Są zakłady bardzo skrupulatnie wypełniające instrukcje w sprawie dochodzeń powypadkowych. Wszędzie stwierdzono rzetelne przestrzeganie przepisów dotyczących sposobu załatwiania roszczeń poszkodowanych. Świadczy to o tym, że administracja woli płacić, niż zawracać sobie głowę profilaktyką.

★

O większej chęci płacenia niż zapobiegania świadczy również następujący fakt. W czasie jednej z trzech wizytacji w Widzewskiej Fabryce Maszyn Jedwabniczych, techniczny inspektor pracy stwierdził m.in. nieprzestrzeganie przepisów o bezpieczeństwie przy obrabiarkach metali i brak nadzoru nad stanem wyposażenia technicznego obrabiarek. Oczywiście zdarzył się tu wypadek. Techniczny Inspektor Pracy wymierzył odpowiedzialnym za te zaniedbania pracownikom grzywny. Grzywny zostały zapłacone.

★

Wysoką ocenę postawiono w wyniku badań działalności Państwowej Inspekcji Sanitarnej. PIS ma na oku zakłady i oddziały produkcyjne, w których występują szkodliwe dla zdrowia pyły i substancje toksyczne. Na przejawy opieszałości i niedbalstwa służba PIS reaguje energicznie, sypiąc grzywny, które przeważnie dają skutek zbawienny. Na przykład, w Zakładach Sprzętu Motoryzacyjnego na żądanie PIS zainstalowano dodatkowe nawiewy i wyciągi. Trudno, ale represja karna okazuje się jednym z najlepszych czynników w zapobieganiu wypadkom.

★

Przysłowie powiada, że mądry Polak po szkodzie. Ale przysłowie to nie zawsze mówi prawdę. Dyrektorowi Łódzkich Zakładów Aparatury Elektrycznej „Elan", który nie zadbał o ubikacje dla kobiet, wlepiono grzywnę. Dyrektor 1.000 zł zapłacił i pomogło. Ale w „Wifamie", gdzie inspektor sanitarny polecił zainstalowanie lepszej wentylacji trzeba było grzywnę aplikować 8 razy. Dopiero pomogło.

HAMULCE

Jerzy Flajszman na łamach „Głosu Robotniczego" zdefiniował dwa istotne czynniki hamujące postęp w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy.

Pierwszy „hamulec" — to zależność techników bhp od premii. Oto klasyczna sytuacja: w zakładzie produkcyjnym używa się starego kompresora, którego okres gwarancyjny już dawno minął i który w każdej chwili może z widocznym skutkiem wybuchnąć. Technik bhp powinien bezpardonowo zarządzić wycofanie kompresora z produkcji. Jednakże technik tego nie zrobi, bo jeśli kompresor wyrzuci się na śmietnik, (reperować go nie ma czym, a nowego też nie ma), to zakład nie wykona planu, to nie będzie premii, ergo technik również nie otrzyma premii. Więc technik zajmuje się pilnowaniem czystości, a nie bezpieczeństwem maszyn.

Drugi „hamulec": służbowa zależność pracowników bhp od dyrekcji przedsiębiorstw. „O tym często się nie mówi, ale o tym zawsze się myśli w momentach kiedy należy podjąć decyzję naruszającą w jakiś sposób cykl produkcyjny" — pisze Flajszman. — „Więc zatrzymać nie przystosowany do obróbki tworzyw sztucznych agregat i „położyć" plan, czy też nie reagować zbyt ostro i narazić robotników na niebezpieczeństwo?... Tak źle, tak niedobrze".

PIENIĄDZE CZEKAJĄ

Krzysztof Pogorzelec („Głos Robotniczy") zwraca uwagę, że w planach inwestycyjnych zakładów przemysłu lekkiego znajduje się kwota 5,5 miliarda złotych na poprawę warunków bhp. Kwota ta jest w lwiej części nie wykorzystana, bo zakłady, które nawet chcą pieniądze na ten cel wydać i mają gotowe dokumentacje nie mogą znaleźć wykonawcy. Autor postuluje w związku z tym powołanie do życia przedsiębiorstwa budowlanego, które by się specjalizowało w zakresie urządzeń bhp.

PRZEMYSŁ LEKKI

W pierwszym półroczu 1962 r. przemysł lekki stracił na skutek wypadków przy pracy około 33 miliony 292 tys. zł. Na tę kwotę złożyło się 47.673 roboczodni.

„Głos Robotniczy"

ODGŁOSY tygodnia

PRZETARG NIE WSKAZANY

W ciągu dwóch najbliższych dni będą obradować w naszym mieście geodeci z całego kraju, którzy zjadą do Łodzi na XXII Ogólnokrajową Konferencję Naukowo-Techniczną poświęconą sprawom kadr geodezyjnych. Należy się spodziewać, że dyskusja będzie gorąca. Jest bowiem o czym mówić. Wiadomo, że w całym kraju występuje duży niedobór specjalistów z tej dziedziny. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest fakt, że do tej pory niedoceniono konieczności organizowania większej liczby szkół geodezyjnych.

Stało się tak dlatego ponieważ tzw. czynniki kompetentne zakładały, że ważniejsze zadania geodezji w naszym kraju będą wykonane do roku 1960, w związku z czym nie ma potrzeby zwiększania kadry geodezyjnej. Pogląd ten okazał się mylny i obecnie przychodzi zbierać jego smutne plony. Według najnowszych bowiem obliczeń deficyt kadr, nawet przy optymalnym rozwoju szkolnictwa geodezyjnego, będzie występował nawet do roku 1980, w którym brak będzie około 3,5 tys. fachowców o specjalizacji geodezyjnej.

Nie możemy przecież zapomnieć, że jeszcze w ciągu kilku lat będą trwały w całej Polsce prace nad naukową klasyfikacją gleb przeprowadzaną po raz pierwszy w dziejach naszego kraju. Klasyfikacja ta jest niemożliwa do przeprowadzenia bez uprzednich pomiarów geodezyjnych. Klasyfikacja gleboznawcza jest bardzo istotna nie tylko ze względów fiskalnych (chodzi o właściwy wymiar podatku gruntowego i obowiązkowych dostaw), ale i naukowych. Obecnie trwają bowiem prace nad przygotowaniem map gleboznawczych nie tylko Polski, ale również całej Europy.

To tylko jeden z wycinków pracy geodetów. A jest ich przecież tak wiele. Nic więc dziwnego, że obecnie odbywają się formalne przetargi na absolwentów szkół geodezyjnych. Wielu z dyrektorów stara się bowiem przyciągnąć do swoich placówek, młodych adeptów sztuki geodezyjnej poprzez oferowanie lepszych warunków materialnych i bytowych (mieszkania). Oczywiście przetarg taki jest nie wskazany choćby tylko ze względów dydaktycznych. I dlatego po zbliżającej się konferencji naukowo-technicznej w sprawie kadry geodezyjnej należy się spodziewać uzdrowienia stosunków w tym zakresie.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rekopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 2710. IX. 62. A-6